

**GABINET
DOKTORA
CALIGARI**

**ROZWALANIE
MURÓW**

**SZKOŁA
I ŻYCIE**

WATA!

oraz ODGŁOSY
z roku 2076

ODGŁOSY

ROK XIX NR 14 (956)

1 KWIETNIA 1976

CENA 3 ZŁ



TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Sprawa Patrycji Hearst

PORWANIE



— Jeden fałszywy ruch, a zostaniecie podziurawione jak sito — krzyknął agent FBI przystawiając pistolet do wizjera w drzwiach. W zamkniętym mieszkaniu znajdowały się dwie młode dziewczyny. Stały bezradnie, kompletnie zaskoczone. Ucieczka była niemożliwa, na dole też była policja.

— All right — powiedziała jedna z nich ledwie dosłyszalnym głosem. W chwilę później agenci FBI byli już w mieszkaniu. Nie było żadnych wątpliwości, ta dziewczyna to przecież PATRYCJA HEARST, bezskutecznie poszukiwana przez policję całych Stanów od ponad półtora roku.

Dalszy ciąg na str. 8

REPORTAŻ

Jeden hoduje boże krówki, zbiera znaczki, kompletuje skorupy, inny wbiła na szpilki motyle; ten skupuje nogi stołowe, ciula stare monety i gotów zadzgać rywala za ładniejszą etykietę, a inny znów lazi sobie po polach i zbiera ziola.

Bywają zielarze — groszorboby i zielarze — pasjonaci.

Groszorbobstwa nie należy się wstydić. Jeśli rencista, a z tych głównie wywodzą się zbieracze, dorobi zielarstwem do skromnej renty trzydziści tysięcy rocznie, to można się tylko z tego cieszyć. Ostatnio, w związku z przykrym zjawiskiem wykuszania się szeregow zielarzy wprowadzono zielarstwo do programu piątej klasy szkoły podstawowej. Organizuje się

skich „HERBAPOL”. — Mówią, że herbata. I jeszcze taka babcia, co chodzi po łąkach, miedzach i lasach, i jak czarownica wydłubuje z mnogości flory sobie tylko znane roślinki. Dyrektor pociąga tyk ziołowej, aromatycznej herbaty „fix”. Pije właśnie tę, dla reklamy.

— Zgadza się, ale tylko częściowo. Bez zbieraczy nie możemy się obejść.

Piotrków, Tomaszów, Kłomnice. Wszystkie podległe zakłady skupują surowiec, ale produkcja jest podzielona.

W Łodzi np. wytwarza się olejki, izolaty i estry spożywcze; w Kłomnicach pieprz ziołowy, przyprawy do drobiu, kminek, gorczycę i majeranek; oddział w Tomaszowie zajmuje się adiuściami ziół (ręczne przebiernie), aby wyłuskać wszelkie zanieczyszczenia i szkodniki.

LZZ są jednym z dziesięciu tego typu zakładów w Zjednoczeniu Przemysłu Zielarskiego. W łódzkim „HERBAPOLU” można się wiele nauczyć. Przedsiębiorstwo prowadzi sprzedaż hurtową (hurtownie i apteki) oraz detaliczną we własnych sklepach. Produkuje niektóre urządzenia, np. w Kłomnicach noże do krajarek, prowadzi pertraktacje eksportowo-importhowe.

RYSZARD BINKOWSKI

ZIELARZ Z AUTOMATEM

konkursy wśród młodzieży, daje nagrody, i bardzo dobrze, bo ziół nie ma za dużo. Chemizacja, melioracja itp. doprowadzają do wymarcia wielu gatunków ziół.

Tym wyżej więc ceni się dobrych zielarzy. Takich, jak choćby zmarła niedawno babcia Stobłeczka, która rozpoczęła od samolecznictwa a skończyła na „Herbapolu”. Szła na jakość, sumienna i dokładna, sama selekcionowała ziola i suszyła na sznurkach. Żyją jeszcze Telesfor Szczepański i Michał Tomczak z Kutna, Jan Rogalski ze wsi Zgoda. Niejeden woli stracić, a będzie zbierał tylko te ziola, która lubi.

Na zielarstwie trzeba się znać. Jest na przykład skrzyp leczniczy: polny, łąkowy i błotny. Jak ten błotny dostanie się do mieszanek, to można całą parafię wykończyć.

— Pytałem ludzi, co im się kojarzy z nazwą „Herbapol” — zwracam się do inż. Zdzisława Starosza, dyrektora Łódzkich Zakładów Zielar-

Brakuje surowca. Powinniśmy ograniczyć produkcję. Ale tak się nie dzieje. Dajemy więcej na rynek. W Kutnie roczna produkcja skoczyła z 50—60 milionów złotych do 100 milionów. W ciągu dziesięciu lat dwa i pół raza zwiększyliśmy skup surowca. Jeśli brakuje jakichś ziół szukamy zastępczych. Część ziół przenosi się do upraw. Kwiatu lipy nie możemy uprawiać, konwali też nie, jakkolwiek hodują ją ogrodnicy, ale w uprawie konwalia traci tzw. ciała czynne, czyli jako lek jest bezwartościowa. Z powodzeniem natomiast uprawia się szalwię, miętę i... bratek polny. Tak samo dziurawiec, i to w dziesiątkach ton Zielarstwo stało się przemysłem. Pan się przekona, kiedy pojedziemy do Kutna...

W drodze dowiedziałem się, co następuje.

ŁÓDZKIE ZAKŁADY ZIELARSKIE zatrudniają 550 osób, które pracują w wielu zakładach, rozrzuconych po ościennych województwach: Kutno,

2.

Z magazynów surowca ziola dostają się do suszarni. Rozbudowano bazę suszarniczą do dziesięciu suszarek typu „Leśniczanka” i czterech suszarek podłogowych. W pierwszych surowiec leży na półkach i co dwadzieścia minut, na zmianę, poddawany jest podmuchom gorącego i zimnego powietrza. Suszarka podłogowa, której autorem jest kierownik kutnowskiego „HERBAPOLU”, Kazimierz Budzyński, ma to do siebie, że na nisko zawieszony nad podłogą siatce można ułożyć naraz kilka ton ziół i osuszać je silnym wentylatorem od spodu. Ten zabieg jest konieczny ze względu na utrwalenie ciał czynnych.

Dalszy ciąg na str. 10

SEJM

APROBATA PROGRAMU PRAC RZĄDU

Po poselskiej debacie, w której wystąpili reprezentanci klubów i kół poselskich, Sejm wyraził aprobatę dla przedstawionego przez prezesa Rady Ministrów Piotra Jaroszewicza programu prac rządu.

Sejm przyjął ustawy o zmianach w organizacji naczelnych organów administracji państwowej oraz zatwierdził propozycje premiera co do składu Rady Ministrów. Przed przystąpieniem do obrad na te tematy parlament stwierdził ważność wyborów do Sejmu przeprowadzonych 21 marca br.

W pierwszym powyborczym tygodniu Sejm na dwóch posiedzeniach ukuł konstytucyjną (marszałkiem Sejmu został Stanisław Gucwa), wyłonił Radę Państwa (na przewodniczącego wybrano Henryka Jabłońskiego), powołał rząd z premierem Piotrem Jaroszewiczem i zatwierdził jego program działania.

Po wysłuchaniu sprawozdania Komisji Prac Ustawodawczych o rządowym projekcie ustawy o Najwyższej Izbie Kontroli, parlament uchwalił ustawę o Najwyższej Izbie Kontroli, a następnie uchwalił ustawę o utworzeniu urzędu ministra: energetyki i energii atomowej; górnictwa, hutnictwa, przemysłu maszyn ciężkich i rolniczych oraz gospodarki materiałowej.

W ub. poniedziałek rozpoczęły się w kraju pierwsze inauguracyjne sesje nowo wybranych wojewódzkich rad narodowych. 31 marca br. taką właśnie sesję odbyła Rada Narodowa Miasta Łodzi.

Radni wysłuchali m.in. informacji prezydenta miasta n.t. głównych zadań województwa łódzkiego w realizacji uchwały VII Zjazdu PZPR oraz wstępnych zamierzeń na lata 1976-80. Rada rozpatrzyła również sprawozdanie z realizacji planu społeczno-gospodarczego i budżetu województwa za rok 1975.

Łódź stanowi swego rodzaju fenomen, gdy rozpatrywana jest jako środowisko twórców i odbiorców filmu. Jej specyficzna w skali kraju sytuacja wyznaczana jest z jednej strony obecnością wytwórni filmowych — zwłaszcza Wytwórni Filmów Oświatowych, coraz silniej związanej swą działalnością z życiem kulturalnym miasta — z drugiej zaś tradycją już wyspecjalizowanego środowiska artystycznego PWSFTvT i naukowym, skupiającym się wokół Zakładu Wiedzy o Filmie UL. Trzecim elementem środowiska filmowego jest liczna rzesza kinomanów — członków Dyskusyjnych Klubów Filmowych, działających od wielu lat w naszym mieście.

Biorąc pod uwagę charakterystyczne cechy poszczególnych grup, można by jednak sądzić, że środowisko to — tak silnie zróżnicowane zarówno pod względem niejako „administracyjnego” stosunku do filmu, jak i zainteresowań — nie odnajduje wspólnej płaszczyzny porozumienia, nie dąży do konfrontacji swoich poczynań, że jego części realizują się praktycznie w izolacji. Łódzcy kinomanowie wiedzą jednak, że tak nie jest. Istnieje w Łodzi instytucja potrafiąca połączyć różnokierunkowe działania i zainteresowania środowisk, skupić je — organizując prawdziwe centrum kultury filmowej. Oczywiście mam na myśli Łódzki Dom Kultury, a ściślej Dział Kultury Filmowej LDK. Kiedy zapytałem pracowników LDK o podstawową przyczynę dużego zainteresowania działalnością popularyzatorską, wręcz sukcesu w pracy związanej z problemami filmu, w jednej z odpowiedzi była mowa o wielokierunkowości działań. Zgoda, ale dodałbym jeszcze, że jest to wielokierunkowość zarówno widząca się w różnorodności form pracy, jak i wynikająca z uwzględnienia specyficznych warunków łódzkich, o których wspominałem wyżej. Z każdego środowiska związanego z filmem LDK stara się uzyskać jak najwięcej, oferując wiele w zamian. Przykłady? Proszę bardzo: podstawowa forma upowszechniania kultury filmowej, to oczywiście imprezy przeznaczone dla wszystkich (to znaczy oczywiście dla wszystkich, których interesuje film, jako zjawisko kultury, jako dzieło sztuki). Najważniejszą z nich to comiesięczne Uniwersyteckie Wieczory Filmowe (organizowane wspólnie z Zakładem Wiedzy o Filmie UL). Prezentowane tu filmy, to przede wszystkim te, które jeszcze nie pojawiły się na ekranach, lub nie zjawiają się tam nigdy — a zawsze są to

dzieła wybitne. Ale sama projekcja nie wyczerpuje sprawy. Bo rzecz o najmniej równie istotną są fachowe prelekcje przed seansem, a zwłaszcza dyskusje odbywane tradycyjnie po projekcji filmu. Pojawiają się to często twórcy i wybitni specjaliści od problematyki poruszanej w trakcie dyskusji (np. z okazji prezentacji cyklu „Biblia” Leszka Skrzydły gościł w LDK prof. Artur Sandauer). Widzowie UWF mieli okazję zobaczyć już w lutym, jako jedni z pierwszych, zapowiadany na koniec marca debiut reżyserki Gustawy Holubki — „Mazepę”, a gdy pokaz „Dyskretnego uroku burżuazji” zbiegł się z wejściem tego filmu do normalnego rozpowszechnienia, organizatorzy — na zasadzie rekompensaty — postarali się o słynnego „Psa andaluzyjskiego” i fragmenty „Dziennika panny służącej” — i powstał z tego mały festiwal filmów Bunuela.

Pod względem atrakcyjności prezentowanych filmów, Uniwersyteckim Wieczorom Filmowym niewiele ustępują tygodniowe przeglądy filmów zagranicznych, które nie były — i prawdopodobnie nie będą — pokazywane w kinach. Dotychczas odbyły się już tygodnie filmu francuskiego i radzieckiego (tu warto wspomnieć, że w progra-

PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI ŁDK — OŚRODEK KULTURY FILMOWEJ

mie znalazły się dwa filmy W. Szukszyna) oraz pokaz wielo-odcinkowego angielskiego serialu o sztuce „Cywilizacja”. Natomiast na kwiecień zapowiadany jest przegląd filmów węgierskich.

Jednakże imprezami, które świadczą najdobitniej o ambicjach LDK są organizowane tu sesje popularnonaukowe (nieestety zbyt rzadko, ale decydują o tym względy obiektywne). Co charakterystyczne sesje odbywane w LDK niewiele mają wspólnego ze stereotypowymi imprezami tego typu, polegającymi najczęściej na wielogodzinym słuchaniu referatów. „W przypadku takich imprez bardzo ważną rzeczą jest, aby nie były one adresowane jedynie do zamkniętego środowiska. Praktyka przekonuje, że największe zainteresowanie budzą sprawy warsztatowe, a zamiast wykładów widzowie wolą mieć pewne zagadnienia do dyskusji, do przemyslenia w formie tekstów zebranych w materiałach, które otrzymują przed projekcjami” — wyjaśnia mi mgr Anna Smor-

gul-Czerny, opowiadając jak powstał pomysł organizowania sesji określanych mianem „warsztatowych”. Jeszcze dwa lata temu, na sesji poświęconej problemom kina polskiego w trzydziestolecie, na salę znajdowało się dosłownie parę osób. Ale wówczas rzecz polegała wyłącznie na referatach (skądinąd znakomitych prelegentów). W ubiegłym roku natomiast na salę, w której miała odbyć się dyskusja przedchodząca się z kina. Obydłoby sesje w 1975 roku: jedna poświęcona współczesnej światowej awangardzie filmowej, a druga najnowszym tendencjom w sztuce operatorskiej — wychodziły od konkretnego materiału filmowego, który był dostępny dla każdego z uczestników. Stąd też duże zainteresowanie tymi imprezami, zwłaszcza w środowisku studentów PWSFTvT. W planach LDK na okres najbliższy przewidziana jest sesja dotycząca zagadnień muzyki w filmie animowanym, a w następnej kolejności poświęcona współczesnemu warsztatowi twórcy filmowego.

Duże znaczenie przywiązuje LDK także do szkolenia ujętego w bardziej „administracyjne” ramy. Mam na myśli Małe Akademie Filmowe, wykształcone z dawnych ZMS-owskich Spotkań z Filmem. Początkowo przyna-

czono dla członków organizacji młodzieżowych, obecnie skupiają przed wszystkim uczniów szkół średnich i studentów. Zajęcia odbywają się tu dwa razy w miesiącu — w sobotę i w niedzielę. Każdorazowy wykład, prelekcja i pokaz wybranego filmu (a można tu zobaczyć także filmy archiwalne, wypożyczone z PWSFTvT) składają się na pewne pensum wiedzy z teorii, historii filmu i metodyki pracy z filmem. Proszę zauważyć: ponad sto osób rocznie, które nie tylko poznają podstawowe zagadnienia filmu, ale ponadto potrafią przekazać zdobytą wiedzę innym.

Ale to nie koniec szkoleniowej działalności LDK. „W ubiegłym roku wprowadziliśmy pewną innowację — mówi mgr Jerzy Dyszkiewicz zajmujący się sprawami szkolenia — zorganizowaliśmy tytułem eksperymentu drugą Małą Akademię Filmową przeznaczoną dla zaawansowanych — absolwentów MAF i wyższych uczelni. Tematy, które proponujemy wymagają już pewnej głębszej znajomości zagadnień filmu”. Widąc więc, że

INFORMACJE

KWIETNIOWY „KALEJDOSKOP”

Najnowszy numer „Kalejdoskopu” zawiera pozycje z dziedziny: literatury, plastyki, teatru, filmu i muzyki. Kwietniowy numer posiada także dodatek w postaci informatora kulturalnego oraz ciekawe ilustracje. Znajdują się już w kioskach w cenie 5 zł.

„ŁALKOWY ŚWIAT WACŁAWA KONDKA”

W ub. poniedziałek w PTL „Aniekin” otwarto wystawę „Łalkowy świat Wacława Kondka”, na której zmontowano atrakcyjny scenograficzny i lalki biorące udział w spektaklach teatralnych i filmach realizowanych przez tego wybitnego, przedwczoraj zmarłego, artystę.

KONKURS PIOSENKARZY

Po przesłuchaniach eliminacyjnych, które w dorocznym Konkursie Piosenki Radzieckiej, odbyły się w dniu 28 marca br. jury pod przewodnictwem doc. PWSM Rajmunda Ambrozjaka wyłoniło najlepszych na eliminacje centralne. W tym roku odbędzie się one w Radomiu.

Łódzkie województwo mieści się w grupie solistów: Władysław Wiśniewski z Dzielnicowego Domu Kultury Łódź-Bałuty, Maria Cwiklińska z Zakładowego Domu Kultury im. Obrońców Pokoju i Izabella Gierstów ze Stowarzyszenia Muzyki Estradowej. Natomiast do eliminacji centralnych jury nie zakwalifikowało żadnego z pięciu zespołów uczestniczących w konkursie.

DUSZAN ROLL ZASŁUŻONY DLA KULTURY POLSKIEJ

Literat słowacki Duszan Roll udekorowany został 26 ub. m.

odznaką „Zasłużony dla kultury polskiej” przyznana mu za zasługi w popularyzacji polskiej literatury i kultury. Pełniący obecnie funkcje wiceprzewodniczącego Międzynarodowej Unii Książek dla Dzieci i Młodzieży (IBBY) D. Roll przyczynił się do powstania polskiej sekcji tej organizacji. Jest on tłumaczem polskich książek na język słowacki, a także autorem licznych artykułów o literaturze dziecięcej w Polsce publikowanych w wydawnictwach UNESCO.

KONKURS „O LAUR ŚLUPSKIEGO GRZYFA”

Wydział Kultury Urzędu Wojewódzkiego oraz Oddział Związku Literatów Polskich z siedzibą w Koszalinie ogłosił ogólnopolski konkurs literacki „O Laur Słupskiego Gryfa”. Konkurs obejmuje twórczość w dziedzinie poezji, dramatu, noweli i opowiadań wiążących się z tematyką historii i współczesnych przemian na Pomorzu.

NOWA KSIĄŻKA TELEFONICZNA JUŻ W SPRZEDAŻY

Nowa książka telefoniczna została już ukończona. W pierwszej kolejności spisy telefonów abonentów województwa łódzkiego łódzkiego na lata 1976/77 mogą nabywać od 6 kwietnia wyłącznie instytucje w Urzędzie pocztowym przy ul. Lutomierskiej 162, nr tel. 51-51-50. Cena egzemplarza wynosi 80 zł. Dla instytucji spoza Łodzi spisy będą sprzedawane przez urzędy telekomunikacyjne w Pabianicach i Zdzierzcu.

Abonenci mieszkaniowi na nowe książki telefoniczne będą musieli poczekać do maja br.

TEATR

WERDYKT JURY „SREBRNEJ ŁÓDKI” I „SREBRNEGO PIERSIENIA” 1976

Decyzją wspólnego jury przyznającego z okazji Międzynarodowego Dnia Teatru doroczne nagrody „Srebrnej Łódki” i „Srebrnego Pierścienia”, w roku 1976 otrzymują powyższe wyróżnienia:

Nagrodę Towarzystwa Przyjaciół Łodzi — SREBRNĄ ŁÓDKĘ — przedstawienie „OPERETKI” Witolda Gombrowicza w Teatrze Nowym w reżyserii Kazimierza Dejmka, scenografii Andrzeja Majewskiego, z muzyką Tomasza Kiesewettera.

SREBRNY PIERSIENIE — nagrodę Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi i Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich — Oddział w Łodzi — ANDRZEJ MAY za rolę ONKA w „GARBUSIE” Sławomira Mrożka w Teatrze Nowym.

W toku dyskusji podczas obrad jury wymieniono ponadto jako najciekawsze przedstawienia roku „Garbusa” S. Mrożka w Teatrze Nowym (reż. — K. Dejmek, scenogr. Andrzej Majewski) i „Turonia” Stefana Zeromskiego w Teatrze Powszechnym (reż. Roman Kłossowski, scenogr. — Wojciech Ścieciński.

Kontrkandydatami do „Srebrnego Pierścienia” byli: Mieczysław Voit jako hrabia Himalaj w „Operetce” Gombrowicza i Baron w „Garbusie” Mrożka oraz Andrzej Zarnecki w roli hrabiego Szarma w „Operetce”.

PROSZĘ O GŁOS

JERZY DARNAL

KONFRONTACJE?

Nie jestem krytykiem filmowym, nie jestem także kinomanem, toteż nie przedkładam sztuki filmowej ponad inne dziedziny twórczości: nad spektakl teatralny, książkę, wystawę plastyczną, koncert. Ale lubię wiedzieć, co w trawie piszczy, toteż nie przepuszczam żadnej poważniejszej imprezy kulturalnej. Pewnie dlatego właśnie zdecydowałem się nabyć karnet na „Konfrontacje” za jedyne 320 zł. Nie jest to zbyt wiele, jeśli uzmyslić sobie, że za te pieniądze zostaje się uczestnikiem najwybitniejszych szesnastu wydarzeń filmowych świata. Ale nie jest to też tak mało, kiedy człowiek musi się szarpać na taki wydatek jednorazowo, zamiast na przykład kupić koszulę czy wiosenne póluty.

„Konfrontacje” mają swoją tradycję i jeszcze większą legendę podtrzymywaną przez snobów, którzy potrafią całą noc stać w ogonku, żeby wreszcie zdobyć upragnioną kartę wstępu. Biorąc karnet jest przepustką do elity, a przynajmniej nią do niedawna, o statnio zdecydowano się przecieć „Konfrontacje” udemokratyzować rozszerzając widownię na trzy łódzkie kina. Nasze gazety nazwały to sukcesem zapominając, że w Warszawie zestaw filmów „Konfrontacje” wyświetlany był w pięciu kinach. Prawda, że Warszawa większa i snobów w niej więcej, ale i u nas nie brak ludzi, którzy nie z towarzyskiej potrzeby, tylko z ciekawości poszły zobaczyć jakie tendencje reprezentuje światowa sztuka filmowa. Co prawda wszystkie te obrazy będzie można jeszcze zobaczyć, zakupione bowiem zostały na nasze ekrany i nie w smak to naszym snobom, ale prawda też, że co pięć kin to nie trzy i do sukcesu daleko.

W ogóle „Konfrontacje” zaczęły się w Łodzi pechowo, od opóźnienia seansów we wszystkich kinoteatrach, kiedy to na czas nie dotarły kopie obrazu Akira Kurosawy „Dersu Uzala”. Potem, kiedy projekcje nabrały rozmachu, wyszedł inny mankament. Zestaw filmów, nawet firmowanych przez słynne nazwiska, okazał się znacznie mniej rewelacyjny, niż by to wynikało z zapowiedzi. Może to tylko moje odczucie profana, ale zbyt często ziewałem i zbyt mało obrazów poruszyło mnie naprawdę. Przy okazji ujawniły się inne sprawy. Tak, na przykład, węgierski film „Adopcja” nosił polskie napisy, co zdaje się wskazywać, że zo-

stał zakupiony grubo wcześniej i dopiero w ostatniej chwili włączony do programu „Konfrontacje”, aby stały się pełniejsze. Rodzi się zatem pytanie, czy nie w podobny sposób na listę przeglądu trafiły także inne pozycje? Czy rzeczywiście zaprezentowano nam to, czym dysponuje światowe kino czy też sprofilowany program z tego, co miało w swoich reżyserskich Zjednoczenie Rozpowszechniania Filmów? Łuki i przeproszenia są bowiem bardzo znaczne. W zestawie nie znalazły się przecież filmy Tarkowskiego, Polańskiego, zupełnie nie jest reprezentowana kinematografia brytyjska, południowo-amerykańska. Czyżby w sztuce filmowej świata naprawdę tak mało się działo?

Były wreszcie na „Konfrontacjach” niespodzianki zafundowane nam przez Okręgowe Przedsiębiorstwo Rozpowszechniania Filmów w Łodzi, które wyszło z założenia, że filmy są ważniejsze niż praca, sen i wypoczynek. Nabywca karnetu do „Polonii” na seans rozpoczynający się o godz. 21 ze zdumieniem spostrzegł, że w niedzielę 28 marca może wejść do kina dopiero o godz. 22.30. Cóż to praktycznie oznaczało? Znaczyło to, że seans zakończy się w poniedziałek 29 marca o godz. 2 rano. A przecież można było „Ojca chrzestnego II”, film rzeczywiście długi, wstawić do programu wyświetlanego w sobotę, żeby w niedzielę można było straconą nockę odespać. Na ten pomysł organizatorzy jednak nie wpadli. Nie chcieli się im ruszyć głowa. Można byłoby nawet dotrzymać godziny rozpoczęcia seansu, bo w poniedziałek 29 marca film był wyświetlany powtórnie przez cały dzień, nie więc nie stało na przeszkodzie, żeby posiadacze karnetów na godz. 21 obejrzeli go tego właśnie dnia. Nie pomyślano i o tym.

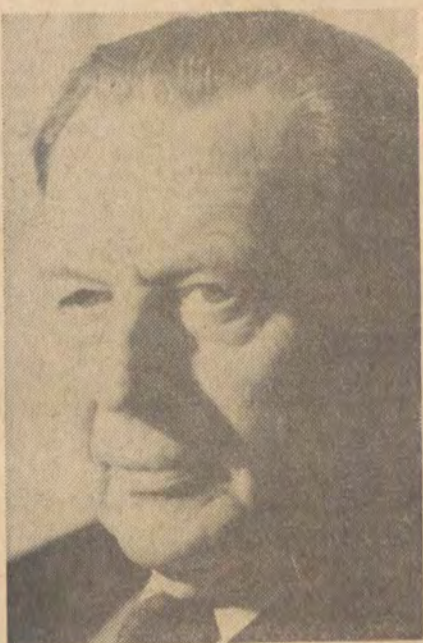
Niektórzy twierdzą, że egalitaryzm oznacza zmierzanie „Konfrontacji”. Któż będzie chciał ciurkiem oglądać 16 filmów, nie zawsze najlepszych, skoro można i tak trafić na ekrany, będzie można w nich przebierać i wybierać? Nie sądzę, aby ten właśnie moment był najważniejszy. „Konfrontacje” wytrzymają próbę czasu, jeśli będą miały swoją własną architekturę, jeśli uda się wybrane obrazy podporządkować jakiejś myśli nadrzędnej. I oczywiście jeśli nie będą na nieustannie spotykać niespodzianki organizacyjne, którym przy odrobinie dobrych chęci można przecieć zapobiec.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREIDLICH, WIESŁAW JAŻDYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji).

Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRYSZTOF POGORZELEC, WITOLD ŚLAWSKI, TADEUSZ SZCZEPANIKI, JANUSZ SZYMANSKI-GLANC

Z prof. dr STANISŁAWEM Cwynarem o projekcie ustawy psychiatrycznej rozmawia — Konrad Frejdlch



Fot. W. Parys

— Od dawna mówi się o potrzebie ustawy psychiatrycznej w naszym kraju, były nawet, jak pamiętamy, nieduże, jak dotąd, próby skodyfikowania przepisów z dziedziny ochrony zdrowia psychicznego. Co sprawia, że dążymy tak uparcie do prawnego uregulowania tych spraw?

— Kodyfikacja przepisów o ochronie zdrowia psychicznego jest niezbe-

towna są przez lekarzy psychiatrów choroby psychiczne.

— Gdzieś jednak błąka się lęk społeczny, że tzw. „wariackie papiery” zostawiają piętno, które trudno zmyć w normalnym życiu. Jak szerokiej grupy społecznej dotyczy ten lęk i uczucie zagrożenia?

— Cóż, zaburzenia psychiczne są coraz częstsze i dzisiaj nawet najbardziej sceptyczne wyliczenia mówią nam, że co piąty człowiek w ciągu swego życia powinien korzystać lub korzystać z pomocy psychiatrycznej. Jeśli nie korzysta to dlatego, że psychiatrów jest za mało i pacjent radzi się lekarzy innych specjalności, którzy na nieszczęście niezbyt dobrze znają się na tych zagadnieniach.

Często pacjent unika kontaktu z psychiatrą obawiając się społecznego ostracyzmu, ludzie bowiem nie darzą zaufaniem tych, co opuścili szpital. Co najmniej przez rok obserwują każdy gest ozdrowieńca, każdy ruch mimiczny, reakcję emocjonalną. Przy dzisiejszym stanie świadomości społecznej opuszczenie szpitala psychiatrycznego i pójście do pracy między zdrowych ludzi jest równoznaczne z poddaniem się bardzo trudnemu egzaminowi. Trzeba przecież wytrzymać te studiujące spojrzenia, te uśmiechy, aluzje, szeptu za plecami. Przed lekarzami, literatami, filmowcami, prasą stoi ogromne zadanie takiego ukształtowania opinii publicznej, żeby po leczeniu pacjent mógł wejść w społeczeństwo bez lęku.

— Te społeczne przesady mają swoje historyczne uzasadnienie. Czy nie dlatego, że choroby psychiczne zbyt długo były otaczane aurą niesamowitości i tajemniczości?

zakładu, zamkniętego, odczuli to jako pozbawienie istotnych prerogatyw. A tego nikt przecież nie lubi. Gdybyśmy się mogli oprzeć na zaufaniu do ludzi, to byłoby to o wiele tańsze i racjonalniejsze w sensie ekonomicznym, niż postępowanie sądowe.

— Czy te obawy nie są przesadzone?

— O ile sama redakcja przepisu o przymusowej hospitalizacji nie budzi zastrzeżeń, to trzeba jednak liczyć się z tym, że ani wymiar sprawiedliwości ani leczenie psychiatryczne nie są jeszcze dostatecznie przygotowane do tej nowej sytuacji. Trzeba przecież pamiętać, że w Polsce, w ciągłym leczeniu znajduje się blisko 700 tys. pacjentów, a 200 tys. z nich, to przypadki nowe, to ludzie, którzy do szpitala psychiatrycznego trafiają po raz pierwszy. Jeżeli tylko 20% tych nowo przyjętych pacjentów sprzeciwi się hospitalizacji przymusowej, to czeka nas rocznie blisko 40 tys. rozpraw przed sądem opiekuńczym. Stawia to poważne zadania przed wymiarem sprawiedliwości. A przecież w tych rozprawach muszą uczestniczyć jako biegli lekarze psychiatry. Ustawa będzie więc dobrodziejstwem, gdy wychowamy więcej lekarzy psychiatrów i technika kontroli prawnej będzie tak sprawna, że będzie zabierała jak najmniej czasu.

— Prawny aspekt przymusowej hospitalizacji, to ważny fragment ochrony zdrowia psychicznego, ale przecież chyba nie jedyny. Ustawodawca liczy się chyba z tym, że prawidłowa realizacja gwarancji obywatelskich będzie możliwa tylko poprzez poszerzenie bazy szpitalnictwa?

— W ciągu 10 lat same tylko przyjęcia nowych chorych wzrosły o 80 proc. A ponieważ choroby psychiczne są na ogół przewlekłe, jak już wspo-

nie inwalidzkie do aktywnej współpracy i zatrudniają one dziś około 1000 osób ze skazą psychiczną, dzięki czemu możliwa jest ich pełna rehabilitacja. Ale wciąż brak pośredniego ognia między szpitalem a spółdzielnią inwalidzką. I dlatego część wypisanych pacjentów niezbyt długo utrzymuje się w rodzinie, wraca do zakładu. Ta sytuacja przypomina obrotowe drzwi: wychodzi się, żeby wejść. I temu trzeba zapobiec.

— Wspomniał Pan Profesor, że leczenie psychiatryczne jest przewlekłe. Czy projekt ustawy uwzględni to w odniesieniu do chorych psychicznie pracowników?

— Projekt przewiduje szczególną ochronę prawną chorego psychicznie pracownika, będzie on korzystał z takich dobrodziejstw jak chorzy na gruźlicę, będzie się więc mógł dłużej leczyć bez obawy, że zostanie z nim rozwiązana umowa o pracę. Projekt idzie nawet dalej, przewiduje bowiem, że ludzie, którzy zachorowali, zanim uzyskali prawo do renty czy emerytury, będą mogli pracować w okresie leczenia i rehabilitacji i ten czas będzie wliczony do uprawnień rentowych.

— Te wszystkie humanitarne posunięcia przyczynia się zapewne do poprawy sytuacji chorych psychicznie. Dochodzą nas jednak sygnały, że sama organizacja lecznictwa wymaga zasadniczych korektur. I chorzy i ich rodziny skarżą się na warunki, jakie stwarza byt na oddziałach obserwacyjnych.

— Dawniej był w szpitalach podział na świeże przyjęcia i przyjęcia powrotne, na pacjentów spokojnych oraz niespokojnych itd. Obecnie wprowadzono subrejonizację w ramach ZOZ i każdy oddział ma swój rejon, z natury rzeczy niewielki. Dlatego też segregacja chorych jest taka trudna, często niemożliwa, bo i oddziały są małe. Dochodzi więc do tego, że na tej samej przestrzeni spotykają się osoby podesele wiekiem i niepełnoletnie, pacjenci spokojni i niespokojni, co każda z tych grup odczuwa jako dolegliwość.

Zamysł był dobry, bo gdy ten sam lekarz zna wszystkie stadia choroby i zdrowia swego pacjenta, łatwiej o trafną diagnozę. Ale w istniejących warunkach ma to swoje złe strony. Często pacjent chciałby ukryć swoją chorobę przed sąsiadami, a na oddziale spotyka znajomych, albo ich rodziny, bo mieszkają w tym samym rejonie i w ten sposób zostaje naruszona tajemnica lekarska.

Argumentem humanitarnie uzasadnionym jest więc rozbudowa bazy psychiatrycznej, aby pacjentów można było łączyć w grupy, które między sobą będą się dobrze czuły.

— A jak te sprawy wyglądają za granicą?

— My często czytamy w prasie, że np. w Stanach Zjednoczonych likwiduje się część łóżek psychiatrycznych dzięki skuteczności leczenia przy pomocy środków psychotropowych. I to jest prawda, tyle tylko, że Amerykanie mają proporcjonalnie w stosunku do liczby ludności siedem razy więcej miejsc w szpitalach niż my. Podobnie wygląda sprawa w innych krajach, choć ta wielokrotność łóżek w porównaniu z nami jest nieco mniejsza. Dlatego też nie możemy przyjmować bezkrytycznie tych prasowych doniesień. Musimy podważyć nasze łóżka w psychiatrii, żebyśmy doszli do jakiegoś takiego standardu. To, że mamy wyniki lecznicze i to niewiele gorsze niż za granicą, świadczy o niezwykłym dążeniu człowieka do zdrowia. Te warunki są na pewno lepsze niż 30 lat temu, ale trzeba jeszcze czasu, żeby leczenie się w szpitalu psychiatrycznym nie wywołało żadnej sensacji, żeby zarówno przez pacjenta jak i opinię środowiskową było traktowane równie naturalnie jak leczenie w internie.

— Jakże nadzieje wiąże Pan Profesor z nową ustawą psychiatryczną.

— Ustawa kładzie nacisk na rozbudowę lecznictwa psychiatrycznego. Całe szpitalnictwo odczuwa jeszcze brak, ale w psychiatrii jest najgorzej. A tu właśnie powinno być najlepiej ze względu na to, że w naszej specjalności dobre warunki, spokój a nawet komfort są środkiem leczniczym. Spełniamy ważne zadanie restytucji ad integrum sporego odłamu społeczeństwa i ustawa, wprowadzając wszystkie gwarancje prawne, kładzie jednocześnie nacisk na to, aby powstawało jak najwięcej i jak najlepszych instytucji leczniczych i aby każdy potrzebujący pomocy mógł skorzystać z najlepszego leczenia. Tekst naszej ustawy w porównaniu z angielską, choć Anglescy są tacy praktyczni, wydaje mi się doskonalszy i nowocześniejszy. Jeśli więc projekt wejdzie w życie, a wszystko na to wskazuje, zajmmy pod tym względem produkujące miejsce w świecie. Oczywiście wiele zależy od realizacji ustawy. Wierzę jednak, że w warunkach socjalizmu będziemy mogli stosunkowo wczesnie przybliżyć się do tego, co ustawa uczyni obowiązującym prawem z pożytkiem dla pacjentów, ich rodzin i całego społeczeństwa.

PEWIEN SPÓR

Historię pisze się na podstawie źródeł. Stary ten dogmat podważyła współczesna metodologia historii, dowodząc nie bez słuszności, że pisze się ją nie tylko na ich podstawie, że do powstania historycznego dzieła potrzeba czegoś więcej niż najdoskonalszej nawet znajomości źródeł, że trzeba dysponować również wiedzą ogólną o charakterze teoretycznym, pozarządowym i tak dalej. Ale nie zmienia to faktu, że bez źródeł nie ma historii, a więc i bez nowych źródeł nie może być nowej historii. Potwierdza to praktyka, nie tylko zresztą współczesnego, nowatorskiego dziejopisarstwa. Wszak w badaniach czy to z dziedziny tak modnej dziś historii kwantytatywnej, czy w studiach nad strukturami społecznymi, gospodarczymi lub klasami społecznymi — by wymienić tu nowe kierunki nauki historycznej, jedne z wielu, które możemy określić tym mianem — nowe inspiracje metodologiczne skłaniają do wyświadczenia pokładów nowych źródeł, nie wypowiadanych dotychczas o nankowego obieg w historii.

Ale jednocześnie obserwujemy również inną tendencję: do przedstawiania znanych kłosek, strukturalizowania i destylowania ich w coraz nowe konstatacje, bez wprowadzania nowych ustaleń, bez uciekania się do źródeł. Obym się myśli, widzę jednak, że tego rodzaju tendencje pojawiają się raz po raz zarówno na obszarze nauki historycznej, jak i na innych polach, że wprawdzie sporadycznie, niemniej ukazują się prace z zakresu humanistyki, które nie rozszerzając kręgu dotychczasowych konstatacji, z wielkim impetem i nie bez zarzeczności, przedstawiają stare kłoseki w nowy, często naprawdę mało rewelacyjny porządek. Wystarczy przeczytać dwie lub trzy modne, najlepiej zachodnie prace filozoficzno-metodologiczne, podpać w nich jakąś myśl, no przynajmniej jakąś skomplikowaną terminologię, jakiej jeszcze nie było, i hajdat! Sukces gwarantowany, wprowadź na krótko, ale kto by się nad tym zastanawiał: życie biegnie tak szybko...

Dlatego im bardziej, z racji swych „urzędowych” obowiązków, zagłębiałem się w rozważania ogólne, tropiłem zawiłości współczesnej metodologii, tym bardziej tesknio do... pracy ze źródłami w ręku, do „normalnej” roboty profesjonalnego historyka. Wróciwszy więc z bardzo poważnej metodologicznej konferencji usiadłem do biurka i... ukończyłem studium, przerwałem przed kilku miesiącami z powodu innej konferencji metodologicznej, na którą trzeba było kropić referat.

„Potępieniec swary” z pierwszych lat Wielkiej Emigracji, nie były to spory bez sensu. Kształtowały się w nich postawy, formowała ideologia emigracyjnych obywateli politycznych, i dokonywały się to w żywym, bezpośrednim kontakcie z myślą europejską, w szczególności francuską. Licznym wychodźcom nie odpowiadały dawniejsze, wymieszone jeszcze z kraju, sposoby myślenia; kto myślał, starał się dopracować szerszego niż dawniej uzasadnienia własnego poglądu na świat. W tej atmosferze napiętych sporów, dyskusji i konfrontacji, rodziły się idee, założenia polskiej demokracji, mające znaczenie nie tylko dla tamtej epoki, w ogólnym historycznym, a przede wszystkim, utopijne jeszcze, programy o charakterze socjalistycznym, co również nie było bez znaczenia na przyszłość.

Zdawałoby się, że wiemy o tych sprawach już niemal wszystko. Błędne to zdanie: wiemy o nich mało, niewiele więcej niż to, co można wyyczytać z bardziej lub mniej łatwo dostępnych druków. Dlatego tak ważne jest — a potwierdzają to rezultaty uzyskane przez wielu powojennych badaczy tej problematyki — bezustanne poszukiwanie, badanie, analizowanie nowych źródeł.

Znajdują się one najczęściej w starych bibliotekach. Na podstawie zbiorów Biblioteki Jagiellońskiej oraz paryskiej Biblioteki Polskiej można zapoznać się z dziełami zapomnianego spora, jaki powstał w związku z wykładami F.K. Godobkiego w szkole artylerii zakładu dla Polaków w Bourges w 1833 r. Pościł łucki, poeta i działacz polityczny, rozpoczął tam wykład historii i statystyki Polski. Trzy poprzednie lekcje opisał drukami, napisał kilkadziesiąt, wygłosił kilka mój. Cały plan uzgadniał z samym J. Lelewalem, ale nie całkiem szedł śladem myśli wielkiego historyka-demokraty. I spotkał się z gwałtowną krytyką.

Dlaczego? Bynajmniej nie dlatego, aby historia nie obchodziła mieszkańców w Bourges polskich żołnierzy. Przeciwnie, interesowała ich niezmiernie, ale jeszcze bardziej to, jaka w nią wpisano ideologię. Zaś poglądy F.K. Godobkiego, w oczach demokratów i skłonili do gwałtownej reakcji. Chodziło miłośnikom o to, że poseł groził, jakoby powstanie listopadowe było walką dwóch narodów, jakoby Polacy byli mieli za swego przeciwnika jedynie carat...

W głosach demokratów Tomasz Dąbrowskiego, Józefa Różyckiego, Franciszka Kranasa, anonimowego publicysty „Nowej Polski” o wykładach pościł-poety, w zarzutach, że J.K. Godobki nie zrozumiał „ducha naszej rewolucji”, znalazła swoją konkretną międzynarodową zasadą niepartyzantaryzmu, która tak dobitnie wyrażała powtarzane przez nich powstające jeszcze hasło: „za wolność naszą i waszą”. Wiadomo w miarę tej pięknej idei demokracji z Bourges wdał się w spór z wykładawcą historii. Nie była to dla niego sprawa drugorzędna, zaś hasła nie traktował jak sloganu. Spór wokół wykładów F.K. Godobkiego z 1833 r. pokazuje, w jaki sposób zasada niepartyzantaryzmu wolności stawała się konstytuującą podstawą ideologii tworzącego się Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, jakie miała znaczenie dla kształtowania się światopoglądowego horyzontu polskiej lewicy na wychoździe, tęskniące do rychłego podjęcia walki wyzwolitej, która by przyniosła pełne oswobodzenie narodowe i społeczne. Te zaś sprawy, to już nie tylko historia, lecz także tragedia.

ROZWALANIE MURÓW

dną zwłaszcza w tak delikatnej kwestii, jak sprawa leczenia przymusowego w zamkniętych zakładach. Dzisiaj zasad postępowania w tej dziedzinie nie regulują żadne właściwie normy prawne poza zwyczajowymi, które ukształtowała praktyka.

— Przymusowe umieszczenie w zamkniętym zakładzie leczniczym stanowi na pewno ograniczenie wolności jednostki, choćby nawet dokonane było dla jej dobra. Nie wyrażającą wotum nieufności psychiatrom, nie można się jednak chyba zgodzić, aby jedynie oni decydowali o sprawie przesadzającej niekiedy o całym życiu człowieka. Czy nie uważa Pan Profesor, że zamknięte zakłady lecznicze powinny jednak być poddane kontroli społecznej, zwłaszcza sądowej?

Chyba niewielu jest takich, którzy wierzą w to, że psychiatryczne leczenie zamknięte narusza prawa osobiste obywateli. Z drugiej jednak strony kontrola prawna jest potrzebna, żeby rozproszyć najdrobniejsze choćby obawy. Za przykład niech posłuży Anglia, gdzie wprowadzono ustawę regulującą sprawy przymusowego leczenia tych chorych psychicznie, którzy leczą się nie chcą.

Problem jest szerszy, bo nie ma spreycyzowanych prawnie kryteriów hospitalizacji przymusowej, chyba że za takie kryterium uznamy zdrowy rozum. Tak więc jeśli ktoś zachowywał się w sposób widocznie niebezpieczny zagrażając otoczeniu lub sobie, to zabierano się go siłą i umieszczano w szpitalu psychiatrycznym. Postawa lekarzy psychiatrów była zawsze taka, że po ustąpieniu objawów chorobowych pacjent był natychmiast wypisywany do domu i nikt go nie przetrzymywał w zakładzie ani jednego dnia ponad rzeczywistą potrzebę.

— Wiemy jednak, że konsekwencje pobytu w szpitalu psychiatrycznym rozciągają się na dłużej, normalnie już życie. Człowieka, który opuścił szpital traktuje się podejrzliwie i nieufnie...

— Ludzie przesadnie wyobrażają sobie, że utrata wolności w zakładzie psychiatrycznym, to coś trwałego. Przecież my leczymy dzisiaj skutecznie 75 proc. a może nawet 80 proc. ludzi, którzy trafili do szpitala. To samo z siebie wynika, że musimy leczyć, aż do poprawy podobnie jak się leczy zapalenie przewodu pokarmowego. W tych samych kategoriach trak-

— To na pewno jedna z przyczyn. W dalekiej przeszłości uważano przecież, że choroba psychiczna, to nie innego, jak opętanie przez diabła. Leczono je też w specyficzny sposób i to niezbyt dawno, bo nawet ja pamiętam egzorcyzmy odczytane po cichu w szpitalu psychiatrycznym przez księdza przed wojną. Ludzie, którzy przyzwyczaili się do tej niesamowitości, do tego azylu, gdzie zamknięci pacjenci korzystali tylko z humanitarnej opieki i pomocy za murami, nauczyli się jednocześnie traktować to miejsce jako przekleństwo. Przejście za drugą stronę muru połączone więc było zawsze z uczuciem lęku. Z tego też względu utrzymuje się do tej pory odziedziczony po przodkach lęk przed szpitalem psychiatrycznym.

Potem przyszły modernizacje. W samych szpitalach już prawie wszędzie rozwalono otaczające je mury, zasypiano fosy. W wielu zakładach założono klamki, żeby pacjent miał swobodę poruszania się. Oczywiście to było połączone z pewnym ryzykiem, bo wśród chorych jest część takich, którzy mają tendencje samobójcze i jeśli taki pacjent oddał się ze szpitala i zrobił sobie krzywdę, to społeczeństwo oburza się na personel zakładu. Jest więc rzeczą dyskusyjną, czy szpitale należy uczynić otwartymi, czy też, jak to praktykujemy obecnie, stworzyć tylko niektóre oddziały. Szpital psychiatryczny zawsze chyba musi znajdować się w stanie specyficznej chwiejnej równowagi, bo zawsze musimy stawiać sobie pytanie: czy pacjentowi dać całkowitą wolność, czy też poddać go dyskretniej, ale skutecznej kontroli?

— Dlatego więc problem hospitalizacji przymusowej nie jest chyba zagadnieniem tylko technicznym?

— W poprzednim projekcie ustawy norma dotycząca hospitalizacji przymusowej spotkała się z krytyką, głównie na łamach prasy, wzbudziła także dyskusję wśród psychiatrów. Ponieważ nie było żadnych przepisów prawnych psychiatrzy przyzwyczaili się, zresztą wiele od siebie samych wymagając, brać na siebie pełną moralną odpowiedzialność za przyjęcie pacjenta do szpitala i wypisanie go z niego wówczas, kiedy na to pozwalają warunki. Kiedy nadeszła chwila, że nie tylko oni mają decydować o tym, czy pacjent kwalifikuje się do

mniałem w ciągłej opiece znajduje się blisko 700 tys. ludzi. A przecież są jeszcze inni, których nie rejestruje się jako chorych psychicznie, bo korzystają z rozmaitych konsultacji u lekarzy innych specjalności. Trzeba do tego doliczyć całą masę nerwic oraz zaburzeń charakterologicznych, wreszcie alkoholizm. A więc mniej więcej co piąty człowiek potrzebuje pomocy psychiatrycznej. Oczywiście trzeba zgodzić się z tym, że to bardzo ważne czy kogoś pozbawia się wolności kierując go na przymusowe leczenie, czy też nie. Ale jeszcze ważniejsze jest to, aby każdy pacjent potrzebujący pomocy miał łatwy dostęp do lecznictwa psychiatrycznego.

Z tego założenia wyszedł też ustawodawca. Pierwsza część przepisów zobowiązuje władze państwowe i całe społeczeństwo do tworzenia różnicowanych placówek lecznictwa psychiatrycznego. Dziś w samym tylko lecznictwie zamkniętym mamy za mało łóżek o blisko 100 proc. Żeby więc poprawić sytuację trzeba w ciągu maksymalnie krótkiego czasu stworzyć około 30 tys. nowych łóżek i to tylko w lecznictwie zamkniętym.

Jeszcze gorzej wygląda sytuacja w dziedzinie nerwic. Jest to schorzenie najczęstsze, a mimo to mamy w całym kraju zaledwie 200 łóżek w zakładach typu sanatoryjnego, a potrzeba ich co najmniej dziesięć razy tyle. Ogromnie zaniebane są także sprawy leczenia odwykowego alkoholików. Wreszcie tak wypróżniona i potrzebna instytucja jak szpital dzienny. Dziś chory wypisany z zakładu zamkniętego wraca do domu, gdzie często jest pozostawiony sam sobie, chociaż jeszcze wymaga pomocy. Szpital dzienny jest w takim wypadku rozwiązaniem najlepszym, gdyż pod nieobecność domowników pacjent niepewny, nie wypróżniony znajduje tam opiekę i poddawany jest dalszemu leczeniu. Są tam warsztaty rehabilitacyjne, jest psycholog, z którym pacjent rozmawia i powoli wraca do zupełnej równowagi. W Łodzi w takich szpitalach mamy zaledwie 60-70 miejsc, a potrzeba ich 1 000.

— A więc potrzeby są rzeczywiście duże...

— W Łodzi, gdzie jest aktywne środowisko psychiatryczne i tak osłabniliśmy spór, gdzie indziej brakuje jeszcze większe. W naszym mieście wciągaliśmy na przykład spółdziel-

Przez wiele dni wyglądano ciszy. Szczęśliwie weszła do wsi. Zatrzepotała jeno skrzydłami jaskółki między płotami, chałupami i drzewami. Usadowiła się w pustych oczodolach okien i bez kwiatów, a także i z kwiatami, chociaż już mniej wygodnie. Weszła w spółkę z polnymi drogami, tymi najtrwalszymi traktami człowieka, które powstają same z siebie i Bóg wie jak i kiedy. Matka postanowiła wyruszyć jedną z nich do mnie, pobawić się z synem, obejrzeć i zająć turystyki, tego aroganckiego mieszczaństwa z suchym prowiantem — jak mawiała. Kiedy pojawiła się w drzwiach, uprzytomniłem sobie, że dawno jakiś wewnętrzny Salomon nakazał mi zostawić w niepańcei moje procesowe szykowania, gotowy blankiet wyroku, a nawet stryczek śmierci. Jako jednak się rzekło, powoli złożyłem ową uległość wobec zapomnienia na ołtarzu Jezusa Pacanowskiego i nie miałem żadnej ochoty odnawiać sądowego przewodu. Matka jednak zaraz po pierwszych słowach powitania orzekła bez wstępu: — Nareszcie zaprowadziła sprawiedliwość w piekło na ziemi. Nie możesz odstąpić tych ludzi ani na krok! Musisz odzobić swoją miejską odwagę, osądzić tą sknerską wieś, uciszyć ją, by zamilkła na progu, by nie wydała więcej głosu, stała się niemową.

Nie wiedziałem, co jej odpowiedzieć. Ogarnęło mnie zdziwienie, jak od bicia albo jakby w duszę ognia wyspał. Matka tak chciała. Wiedziała bowiem, że wleje to we mnie jednocześnie ową siłę, wściekłą ludzką złość, rozpalającą krew, każącą mi przybrać wojowniczą postawę człowieka skrzywdzonego, z takim ogromnym gniewem, w którym zatopiłbym pół świata, półświata rozszarpał na strzępy. Położyłem dłoń na swoim czole, jakbym chciał go uspokoić nby furiata. „Zawsze szukałem siły w umiarkowaniu” — blysnęła myśl. Wnet jednak przekonałem się, że wszystko we mnie zaczyna się gotować. Pozorny spokój tylko na chwilę pozwolił mi myśleć o tym, że tamto minęło. Zapomniałam jeno przez czas niejaki, że ojciec umierając złożył mi wystarczająco dużo argumentów: słów, obrazów, bólu i jęków, by mnie poraził grom nienawiści raz na zawsze. Czas jednak nie zmżył we mnie krwi i nienawiści. Wręcz odwrotnie, dopiero teraz po przyjeździe matki zrozumiałem, że muszę tam jechać, a przede wszystkim powiedzieć im, że jestem przeciwko tej ruinie, która w nich zamieszkała, przeciwko słabości i głupocie, tej ich analfabetycznej beznadziejności. Nie mówiłem jej jednak nic. Pokręciła się po mieszkaniu, obejrzała zakamarki, zaczęła dopytywać, gdzie jest grube drzewo, przy którym po spaleniu szybciej pieką się placki.

— Nie mamy matko, pieczemy na gazie! — oznajmiłem.
— Wygodny! — zarzuciła mi. Czulem, że owo moje szczęście i wygodnictwo stawało się w jej oczach puste, jak plewy po wymiśconym ziarnie.
— Tyś lekko szedł przez życie nie odczuwając nawet braku hamulców! — dodała złośliwie.

Stała na środku największego pokoju, jak na drodze, gdy chciała zdenerwować sąsiadów bezrobociem i bezwola. Nie siadała do stołu. „Oto i aroganckie chamstwo — myślała — któremu nie przyszło na myśl, by mnie poczęstować szklanką herbaty, spytać o zdrowie, o serce, o głowę, o nogi, o pracę, wreszcie o to, co się dzieje tam, skąd idę”.

„O, częstują za to — kontynuowała — i hojnie nawet swoim sknerstwem, swoimi fabrycznymi zdobyczami, widokiem na miejską magistrale, która wydaje się wielkim tyśiąckroć pomnożonym kiczem. To ich zawziętość, moje go syna, mojego wsiowego Brutusa”. Przypominałem sobie, że nigdy nie chciało się jej jeść samej. Potem zerwała się. Szybko zaczęła mnie pilić, aby wyjechać na tę wizytę do siostry na Żulawach. Już, już. Po prawdziwie całą tę podróz wymyśliłem sam. Zawsze pragnęła pojechać takim samochodem, który zatrzymuje się, gdzie ona zechce.

Wyruszyliśmy z rana. Huta spała. Było przed nami do pokonania 500 km drogi. W mojej synowskiej potrzebie długo hodowałem myśl, aby jej pokazać najpiękniejsze kawałki kraju, w którym się narodziła. Całe swoje życie podróżywała na Wyspy Kanaryjskie pobliskiej wulkanicznej tacy, a mimo że nie jeden tysiąc, ale więcej modliła się pod baniastą kopułą krowiego wymienia o szczęśliwe życie i taką śmierć, okazja do prawdziwej podróży otworzyła się w niej dopiero teraz. Wiozłem więc ją niby na pierwsze koronowanie, intryzując turystyczną, niebawym weekend, coś na wzór niezastopionej nobilitacji. Samochód toczył się wolno, może wolniej niż tego chciałem. Wjechałamy na Mazowsze, mijaliśmy wieś i miasteczka. Matka raz po raz wznosiła okrzyk:

— Takich u nas nie ma! O! Jeszcze nie widziałam ani jednej krowy czarno-białej. A kiedyś było na opak! Tylko czarno-białe! Dawniej były inne! Z żółtym!

Moja mała córka starała się zwrócić uwagę babki na wystający poza horyzont gotyk kościoła. Skwitowała to krótko:

— Taki sam, jak w Pacanowie!
Wjechałamy w Żulawy. Lita ziemia miodu pomieszana z wodą, a z tego pszczoły potrafiłyby zapewne zrobić najdelikatniejsze i cudowne pszczele mleczko do odżywiania królowej, gdyby wiedziały o takiej możliwości. Na Żulawach lał zawsze dużo gęsi, kaczek, wszelkiego ptactwa kwaczącego i gdażącego.

— Tyle gęsi, tyle kaczek! Kto by to u nas miał się wykarmić! — zadziwiła się matka, a widziałem też, że się w jej oku zaświeciła gospodarska zgroźność.

— Woda podejrzli pod domem! To nawet u nas rzeki — matki nie mamy tak blisko!

— Toż to ta sama rzeka! — odrzekłem po chwili milczenia, by jej objaśnić obecność stawów, podmokłości i innych bagien.

— Nie ma tej samej rzeki! — zwróciła mi uwagę.

Zgodziłem się milcząco. Prawda, nie ma. Cieszyłem się, że tak skutecznie zapomina o moim pozowaniu i postanowieniu sędziemu, bo jednocześnie i ja sam o tym zapomniałem. Ogarniała mnie dobroć i łagodność, której u prawnika nie powinno być nigdy widać. Wpadłem w krótką kontemplację. Przypomniał mi się ojciec, który nakazywał sobie co wieczór zdejmowanie butów z cholewami, bo nie chciał do tego używać drewnianego psa. Wolał mnie. Musiałem mu także buty czyścić i zawsze kiedykolwiek miałem to czynić, czulem nieodparcie, że chodzi po wsi, po największym bloku, abym

nie spojrzęła na widły króla mór. Rzuciła się w stronę przekupki sprzedającej masło.

— Pani! — pytała siedzącej hetery — pani na mieszkanie przy tym straganiku zarobi! Wszędzie kobiety zarabiają. Znam jedną żonę dyrektora, to ona, nie on załatwia mieszkanie i co innego. Bo on myśli, że chociaż dyrektor, to wódki nie pije. A wszyscy to robią. A minister to nie? I wódkę piją i kochanki mają. A ona to co innego i do komunii dzieci posyła i na katechizm. Tylko jego matce została robota, sprzątanie, zbieranie brudów. Jest tego, że przerobić trudno!

Oglądała przekupkę nie odzywała się. Nadleciał uliczny fotograf: — Może zdjęć! Na tle boga mór, będzie co w domu pokazać! Pamiętaj!

— Dziękuję! — odrzekłem — mam swój aparat!

— U nas w wojsku, jak kucharz podpisał raport kuchenny, to nie mógł go przeczytać ani major, ani nawet sam pułkownik. Nie to gadanie Czepczora jednak nie pomogło.

Dziwowano się dalej, że litera daje tyle zaufania, iż chory zrobionym za pomocą litery lekarstwem nie może się otrudzić. I wtedy zaczęto się ogromnie bać. Bo skoro jest tylko jedna litera, to jakże łatwo się pomylić nawet najmądrzejszemu lekarzowi, może z jednej litery zrobić dwie, może mu się troić w oczach, mienić i migotać, może także odczytać ją zupełnie opaknie, niż to naprawdę należałoby zrobić. I wtedy po wypiciu takiego leku nic, tylko czekaj w domu umrzyka. Nie ozdrowienia lecz umrzyka. Oto felerność tej jednej litery receptualnej. Doskonałość i mądrość, ale i felerność, chromanie sądne, strach przedśmiertelny.

raja się o to, by nikt tu nie wznosił czegoś nowego.

Nie poszli za rzekę do fabryki, mają za złe mój wyjazd, nie chcą wypuścić do wsi szerokiej drogi, słupów elektrycznych, radia, kołchoza. Wszystko pachnie im kołchozem. Trzeba wokół niego stworzyć barierę milczenia, otępienia, bojkołu. Matka mówiła, że udawało im się z znakomicie i byli z tego zadowoleni. Ona sama także nie chciała by cokolwiek się zmieniło. Wiedziała, że mój przyjazd na sad i proces powinien to wszystko zastać tak, jak było, gdy żył ojciec. Była przekonana, że uda się niczego nie zmienić.

— Przyjedziesz szybko, nie innego nie zastaniesz — twierdziła.

— Nie mogę natychmiast, będzie zimno, może później, gdy złapie mróz, lepiej wtedy znoszę wyżową pogodę — tłumaczyłem się.

— Pogodę znosisz zawsze lepiej, gdy się nam udaje zapomnieć o czasie.

— Muszę o tym pamiętać... Serce...

— Twoje serce jest z mojego. Takie samo. Bojące, ale stuka, stuka, stuka, dobrze czy źle musi tak być.

— Nie wiem, bo stuka różnie. Zobaczymy?

— Musisz być zaraz — kończyła każdą rozmowę.

— Przyjedziesz, zobaczysz. Przyjdą do ciebie wszyscy żywi, herbaty ci postawię, dla całej bani przygotuję. Drzwi się nie będą zamykać, przyjdzie naród pacanowski bez zaproszenia. Siódme poty ich obleją w gonitwie po twój sąd. Przyjdą po to byś wreszcie powiedział to słowo, które odwoła ich skłócenie, wyrzuci złych i oceni dobrych.

Obrałem taktykę dalszego zwiedzenia. Nie chciałem jeszcze myśleć, że przyjdzie cały tłum razem ze zmarłymi. Wiedziałem, że gdy przyjdą dojdzie znowu do walki i pojedynkowania. Pojechałamy do jej siostry. Przez drogę spieczoną spóźnionym latem, przez kurz i nieodrane ścierńisko. Byliśmy na miejscu stanowiący na środku bogatego podwórka. Siostra wybiegła z sercem na dloni. — Niech będzie pochwalony! — wyrzekła matka w imieniu nas trojga. Ucieszyłem się jeszcze raz z odłożenia naszej sprawy procesowi. Ta prolongata była mi potrzebna właśnie teraz. Wiedziałem bowiem, że kiedy proces już się rozpocznie nie będzie wówczas żadnego odłożenia sprawy. Przyjdą wszyscy oskarżeni, świadkowie, adwokaci i sędzia, którym będę ja. Nie nie wymyślę w owej chwili, by sprawę sądową przelożyć. Nie będzie tu uchybienia najmniejszej regule sądowej. Palestra to potwierdziła. Mogłem sobie chociaż teraz swobodnie pomyśleć: dopóki tu nie przyjechałem, to nie jest mi to życie do niczego potrzebne, to przygotowywana przez matkę balia smrodliwa, to papranie bez mała wieczne.

Matka dziwowała się brzucha ym kaczkom, wysokim gęsiom. Rozprawiała o dorodnych prosiakach. Przeszliśmy przez wieś obok dwóch zabytkowych chałup w stylu holenderskim. Przeknęła i zaczęła nawoływać stadko gęsi: — Taś, taś, taś! Uciekły nieco zartwożone niespodziewanym spoufaleniem. Były syte. Tylko przy jednym piocie zaczęło na nas szczekać stado psów, otaczających sflętszoną i zaspermioną sukę. Chałupy w stylu holenderskim były piękne, z drewna, podnoszone przez konserwatora z upadku, chociaż zbyt wolno, jak na nieszczęśliwie możliwości czasu. Obeszliśmy wieś, zajrzeliśmy do siostry matki, gdzie stał zastawiony stół. Dziwiło się matczyko bogactwem jada i marnotrawstwa czasu, jedzenia, picia. Uszczępnęła z tacy, ze szklanki z herbatą, z kieliszka z winem własnej roboty. Kiedy przeganała się krzyżem i stanęła na nogi wiedziałam, że jest to nieodwołalny znak żegnania. Tak też było. Chciałem ją jeszcze zawieźć do miasta Kopernika. Kazala się spieszyć do tej samej drogi, gdzie bulgotały stadka perliczek, a z daleka czerwień się grzebień pietuchów i złych jak nieszczęśliwe indorów. Jechałamy do domu. Nie chciała już wchodzić do mojego wygodnego mieszkania. Mówiła, że wygodniej jej jest spać w pociągu niż na otomanie i piętowcu w Hucie. Pojechałamy na stację. Chciałem jej kupić bilet pierwszej klasy, ale wytrzymała, że gdy się bardziej zmęczy w drugiej klasie i im twardsze są siedzenia tym łatwiej w wagonie zasypia. Powiedziała mi na peronie, a potem powtórzyła przez okno wagonu, Przyjeżdżaj, truchtem! Hej! Przyjeżdżaj, hej! Pociąg ruszył, gdy jeszcze raz krzyknęła z góralską bym przyjechał „hej”, „truchtem” „hej”, na proces.

Po tej wizycie wiedziata, że życie mamy szczęśliwe, jakby niespodziewanie dla niej; łatwe, praca o jakiejś ony nigdy nie myślała, mieszkanie M-5, telewizja. Czula się jakoś obco, była jednak mimo wszystko współniczką tego naszego porządku cywilizacyjnego. Poprzez swoje cofnięcie, poprzez że odepchnięcie, gdy stamtąd uciekałem bez grosza, gdy się oddalałem tamtym razem i potem ponownie przez wiele, wiele razy. Miałem jednocześnie nadzieję, że przeniknę do tej jedynej i ważnej dla mnie przekonanie, że należymy do dwóch różnych światów.

Mimo to sztykawałem się po powrocie uczelwie zbierając wszystkie akta sprawy.

ZYGMUNT WÓJCIK

PODRÓŻ z MATKĄ

miał nie małą, ale dużą przyjemność doprowadzania ich do glansowego błysku. Z zamyslenia wyrwał mnie okrzyk matki.

— O, jakie wozy! Ale koni nie mają — ubolewała. Wyciągnęłam rękę i wskazałam na pięknie tysiący się któryś z zamków krzyżackich. Nawet nie spojrzęła. Po kilkunastu kilometrach znowu jakiś pomnik, budowla, pałac. Ciekawe i niezniszczone aż do nadludzkiego podziwu. Kazata sobie jedynie otworzyć okno by „poniuszły, jak tu czuć od tutejszych gęsi”. Kierownica samochodu zachwiała mi się w rękę. Godziliśmy się na siebie już od wielu godzin. Jeśli ona miała tyle samo zadowolenia z tego zawieszania bronii, co ja, gotów byłem jej dalek tak właśnie towarzyszyć. To była nasza pierwsza wspólna podróz. Jedynie dziecko zaczęło się nudzić.

— Pšenica, jak malowana na równym szkiele! Pewnie bez większej staranności! — wyraziła wątpliwość. — Są ludzie, co pracy nie wiożą, a samo się im rodzi.

Nie wiedziałem co jej odpowiedzieć. Musiała to być gleba dobrze wyrobiona.

— Babcu, bo minie my stółce krzyżactwa! — wykrzyknęło zaniepokojone dziecko. Babka machnęła ręką, nie zwracając uwagi na nawoływania wnuczki. Podrózowaliśmy wygodnie, nie mieszając się do okolicznej kultury materialnej. Byliśmy we własnym samochodzie, na własnych kółkach, dobrze się nam jechało. Żulawy, Gdańsk, Sopot, znowu Żulawy. Raz po raz, a to psy, a to koty, kiedy zabrakło krów, gęsi, kaczek, stromych dachów „poniemieckich” z czerwona dachówką, matka liczyła psy i zające, te rozjechane przez samochody. Jakby się lubowała w tym liczeniu. Naliczyła ich sporo. Władomo, psów mamy dużo, panów psich nie mniej. Rozjechanych psów mamy też sporo.

— Kaczki, kury, gęsi! — wolała — ciekawe, jak drogie tu pióra? — zapytała raz, aby mnie chociaż w tym miejscu usnąć za autorytet. — A pierzyny?

— Pewnie drogie! — odpowiedziałem.

— Na pewno drogie! — potwierdziła.

— Pierze jest drogie nawet w Ameryce!

Kiedy znaleźliśmy się pod Neptunem okupowanym przez przekupki matki

— Pani, ja też mam swoją żonę, a p... cudze! — odszczeknął się.

Matkę trochę mniej interesowały ryby, a już zupełnie zlekceważyła warzywa. Zielonina nigdy nie budziła uznania i nie była w czasie, dopóki we wsi nie pojawił się pierwszy mieszczuch. Dziwiono się, że obdarowany szczyptorem, pietruchą, marchwią i ćwikłą odszedł ogromnie zadowolony i usmiechnięty. „Niczym nasz wsiowy przyglupek”, komentowano wygląd jego twarzy, jego stan ducha. Przypominano sobie niejako w pamięci każdą zamierzając zadowolenia jego twarzy. Czynniono to tak, jak przed laty zdążyło się, że do wsi przyniósł ktoś pierwszą receptę. Zapisana niewyraźnie, węzykowato, zwołała do odczytania samej siebie całą wieś, wzięcznie z nauścicielem. Nikt nie umiał jej przeczytać, nie mówiąc o zrozumieniu, na które się nie silono. Odrobina zrozumienia czy chociażby jej próba zostałaby wymiana. Ale skoro nie dała się nawet odczytać? Próbowano różnie, kiedy nie pomogły zabiegi z lupą czy specjalnie wyrzynięta w desce dyktu dziurka, do poszczególnego przesuwania po wyrazach, aż litera po literze nastąpił cud odczytania, zreygnowano. Powrócono do innej myśli: odczytania chociażby jednej, dwóch, trzech liter. Może o święcie, może do słońca stojącego w południe nad konimem domu, może w promieniu zachodu? To musi się udać. Kiedy jednak rozpoczęto od nowa przesuwanie oka lupy i dziury wyrzyniętej w desce do dokładnego oddzielenia liter wychodziło jedno — wszystko to zlewało się w jedną ogromną, jak wszystkie pola wszystkich gospodarzy, literę. Mało, było to wielką literą, tylko nikt nie wiedział jaką. Skoro jednak była to jedna litera i to odkrycie uznano za najpierwsze, dziwne i wyjątkowe, dana spokój wreszcie. Lecz niepełnie. Dziwowano się z uznaniem, że z jednej litery farmaceuta może odczytać wszystko, co jest potrzebne do zrobienia lekarstwa. Dziwowano się skąd w jednej literze może być tyle wiedzy. Dziwowano się, że jedna litera może uleczyć chorego. Dziwowano się także, że ta jedyna litera wylicza wagę, miarę w butelce, i siłę leków. Na moment tylko przerwał ten myślowy walc głos Czepczora, gdy ten wspomniał swoje wojskowe wychowanie:

Oglądano jeszcze długo ową receptę tak, jakby czekając, by jedna z tych sił wzięła ostateczną górę. Brata ją jednak zawsze siła i nadziei, i lęku. Nadziei na poprawę zdrowia i lęku przed niezrozumiałym, a czarownym piśmieniem lekarza i niemniej czarownym czytaniem aptekarza. To pisanie i to czytanie stało się po jakimś czasie we wsi pragnieniem każdego domu, każdego ojca i każdej matki. Kiedy przytrafiła się okazja uczenia dziecka, choćby jednego we wsi, to uczenia na lekarza, na władcę i króla tego nieodczytanego pisma. Na dziedzińcu i pietuchach osiadującego kurę niewiedzy, który niedoczekanie ino nie musi znać tylko tę jedną, długą jak wszystkie morgi i zamazaną literę, którą jest w stanie napisać nawet na ciemniaczki, na ślepo, lewą ręką, przez szybę, przez piótko, co ja mówię, nawet przez truby bal drzewa. Ale napisze. Tak mądra jest umiejętność posiadania wiedzy o tej jednej literze, a zatem i o życiu ludzkim w naszej wsi.

Matka przyglądała się przekupkom i ich oselkom masła, jajkom, tuczonym kurczakom, jarzynom i warzywom. Bóg morza został ciężko zlekceważony. Nasza podróz, życiowa matki podróz była w oku czy myśli niezrozumienia. Przynajmniej mnie się tak wydawało. Chciałem tego sam. Nie wychodziło. Byłem jednak zadowolony, że nie muszę mówić o procesie, o moim przyjeździe, o wygłaszaniu mowy oskarżycielskiej. Matka, jakby o tym na ten dzień zapomniiała czy może tylko udawała. Wiedziata jednak, że cokolwiek sprzyjało mi, to tylko w tym dniu, i że kiedyś musi się on skończyć. Nie pomogą wtedy żadne moje tłumaczenia, żadne argumenty. Matka wydiałnie koronny argument: ojciec nie żyje. Wiesz dobrze, kto po wielekroć systematycznie i metodycznie zabijał twojego ojca. Tam się na twój przyjazd czeka. Przecież samym ludziom byłoby wygodniej i lżej, gdyby rozprawa już się odbyła, już potoczył się ich los, tak, jak wyjdzie z procesowych akt. Mówiła też, że nie się tu nie zmieniło. Wszystko zostało jakby zalane grubą warstwą wosku tego najstarszego, a skutecznego sposobu konserwowania. Wszyscy są tacy sami. Gnuśni, niechwalni, myślący tylko o sobie o swojej ziemi, o swojej rożgaciznie, o wszystkim co ich, a nie cudze. Nawet sta-

(Fragment powieści „POJEDYNEK” przygotowywanej dla Wyd. „Czytelnik”).

PROBLEMY

Wata — „odtłuszczone, wybielone i uformowane na zarządce włókna okrywające nasiona bawełny; używana do wyrobu kołder, wyalionowa — jako materiał opatrunkowy”.

Definicja z 1970 roku jest już po części nieaktualna. Dziś do produkcji waty używa się nie tylko bawełny. Również koldry wyrabia się nie tylko z waty. W coraz większym stopniu wykorzystuje się włókna sztuczne oraz inne chemiczne tworzywa. I mogłoby być wydawką, że w aptekach, w kioskach „RUCH” waty powinno być pod dostatkiem. A przecież wszyscy dobrze wiemy, że jest zupełnie inaczej.

Waty brakuje. Wystarczy, że wata lub podpaski higieniczne pojawiają się w aptece, a natychmiast ustawiają się kolejki chętnych i potrzebujących. Dlaczego tak się dzieje? Dlaczego wata — drobny artykuł pierwszej potrzeby — urosła nagle do wielkiego problemu? Dlaczego lekarze niektórym pacjentom muszą wypisywać recepty na wate?

całej Polsce i prosim, aby brali wate. Produkowaliśmy w tedy wate tylko na jedną zmianę. I potem nagle wszystko się zmieniło. Zmieniło się — trzeba tu dodać — mimo że Pabianickie Zakłady Środków Opatunkowych przeszły modernizację, otrzymały nowoczesne maszyny, zwiększyły produkcję. Na przykład w 1975

pyt sprawił, że przemysł musi jej dostarczyć w tym roku 10,5 tys. ton.

Ogromnego skoku dokona się też w produkcji podpasek higienicznych. W 1973 roku przemysł dał na rynek 10,8 mln opasek. Razem z importowanymi poszło ich 13,5 miliona. W 1974 roku przemysł dał 12 600 tys. sztuk, a razem z importowanymi sprzedano 14 milionów sztuk podpasek. W ubiegłym roku przemysł wyprodukował już 18,5 mln. podpasek. W tym roku da ich 24 miliony.

Jeżeli w 1973 roku produkcja wszystkich środków opatrunkowych wyniosła w cenach zbytu 816 mln zł, to w 1976 roku wyniesie już 1 250 mln zł. Te liczby również świadczą o nienalnym wzroście produkcji.

Wydawałoby się więc, że wszystko jest w porządku, a przecież środków

Ludzie w ogóle skłonni są różne kłopoty rynkowe tłumaczyć eksportem. Jest to wyjaśnienie najprostsze. Ale nie zawsze prawdziwe.

Czy waty używa się do produkcji, jak to twierdzi w „Polityce” w rozmowie z Jackiem Maziarzskim dyrektorem Zjednoczenia Przemysłowców Zaopatrzenia Farmaceutycznego „Cefarm” — mgr Piotr Liberski? Być może, choć poduszki, zabawki a nawet i koldry wypełnia się dziś różnorodnymi tworzywami sztucznymi. Na pewno natomiast używa się waty, albo raczej używało się jej, kiedy była pod dostatkiem na rynku, do celów nie tylko higienicznych i sanitarnych ale też i gospodarskich. A używa czy używało się jej dlatego, że brakowało na przykład specjalnie do takich celów przeznaczonych ściereczek. Chemia dostarcza coraz więcej środków czyszczących. Brak ściereczek jednorazowego użytku, brak ligniny mógł wpłynąć na wzrost popytu na wate.

Przemysł celulozowy dostarczył w 1973 roku 10,3 tys. ton waty celulozowej czyli ligniny. W 1974 roku — 9,3 tys. ton, w 1975 roku — 10 tys. ton, a w roku bieżącym ma jej dostarczyć 11 tys. ton. Plan na rok przyszły przewiduje jednakże znowu tylko 10 tys. ton. Podobnie wygląda sytuacja z podpaskami higienicznymi z ligniny. W 1974 roku wyprodukowano ich 75 825 tys. sztuk, w 1975 roku — 61 980 tys. sztuk, a plan na rok bieżący i przyszły zakłada po 78 milionów sztuk. Czy te wielkości odpowiadają potrzebom? Zobaczymy. Oby tylko nie powtórzyła się historia z papierem toaletowym.

Centrala Handlu Artykułami Papierniczymi i Sportowymi określiła pierwotnie zapotrzebowanie na papier toaletowy w następujących wielkościach: na rok 1973 — 210 mln zwol, na rok 1974 — 210 mln zwol, na rok 1975 — 170 mln. zwol, na rok 1976 — 190 mln zwol. Następnie wielkości te „skorygowała” i tak zapotrzebowanie na rok 1973 pomniejszono do 126 mln zwol, na rok 1974 do 145 mln zwol, na rok 1975 powiększono do 200 mln zwol, a na 1976 — 270 mln zwol.

Skutek tej „korekty” był taki, że przemysł celulozowo-papierniczy w latach 1973 — 1974 ograniczył produkcję papieru toaletowego oraz zrezygnował z

MUZYKA

W HOLANDII

Z TAMARĄ POSPISZYL rozmawia Jerzy Kwieciński



Foto: Archiwum

— Już od kilku lat przebywa Pani stale w Holandii, dokąd wyjechała Pani bodaj bezpośrednio po ukończeniu łódzkiej uczelni muzycznej...

— Zaraz do dyskusji o wyróżnieniu, uzyskanym w 1969 r. w klasie fortepianu, nieżyjącej już dziś, prof. Zofii Romaszkoj wyjechałam na dalsze studia do Amsterdamu i osiadłam tam w związku z zamążpójściem. Bardzo się ciesze, że mogłam teraz odbyć tournée artystyczne po Polsce i wystąpić dwukrotnie w rodzinnej Łodzi, gdzie do dzisiaj mieszka moja matka.

— Ale cofnijmy się może o tych parę lat. Jak przyjeżdża Pani do Holandii, czy miała Pani duże trudności w zdobyciu sobie pozycji koncertującego pianisty? — Muszę powiedzieć, że polska szkoła pianistyczna ma wszędzie dobrą markę, i to od dość dawna, a co do mnie, to zawdzięczałam Państwowemu Wyższemu Szkołemu Muzycznemu w Łodzi solidne przygotowanie zawodowe, co oczywiście było czynnikiem decydującym. Nigdzie nie jest łatwe zdobyć sobie nazwiska, a ja w dodatku posłam nie najbliższą drogą, ponieważ postanowiłam proponować bardzo bliska moim odczuciom muzykę Karola Szymanowskiego, zbyt mało jeszcze znaną publiczności na Zachodzie, co połączone było z pewnym ryzykiem.

— Jak można jednak wyczyć z recenzji prasowych, nawet z ich tytułów, w których pisze się np. „Nieznanym następcą Chopina”. Pani uświelenia nie idą na marne. Ale czy to było znaczące, że muzyka polska, poza Chopinem, jest w Holandii zupełnie nieznaną?

— Duży rozgłos w świecie zdobyli sobie współcześni polscy kompozytorzy — Witold Lutosławski, Krzysztof Penderecki, a także Tadeusz Baird czy Grażyna Bacewiczówna, a właśnie Karol Szymanowski, który spowodował tak ważny przełom w polskiej twórczości muzycznej i niejako dał oczekiwanej twórczości, nie jest dostatecznie znany, co uważam za jakążś „krzywdę”.

— Bo może ten „historek” dla nas momentem został przez świat przegany, a dzisiaj jest to dla innych muzyka po prostu przebrzmiała z punktu widzenia nowatorstwa muzycznego, mimo iż dla nas żywa dzięki kontynuacji na naszym rodzimym gruncie.

— Jestem przekonana, że jest przeciwnie. Artur Rubinstein, którego pytałam o zdanie, wypowiedział opinie, że na muzykę Szymanowskiego jeszcze nie nadszedł czas u szerzej publiczności koncertowej; w każdym razie, o ile wiem, nasz mistrz nie umieszcza jego utworów w swoim repertuarze. Ja tymczasem stwierdzam, że reakcje publiczności świadczą o jak najlepszym odbiorze tej muzyki przy pierwszym z nią zetknięciu — w Holandii i Belgii, czy nawet Portugalii i Turcji. Wszędzie zapytano mnie po koncercie o nuty i nagrania utworów Szymanowskiego, mimo iż w swoich koncertach wplątałam jego utwory omedley dzieła kompozytorów chętnie słuchanych, romantycznych i współczesnych, których najchętniej słyszałam. Często wyszłyście popularność Chopina dla „lansowania” Szymanowskiego, również w radiu i telewizji, podobnie też na nagraniu ostatnio płyty.

— Jest Pani już zadowolona w życiu muzycznym Holandii, zdobyła Pani nagrodę tak znaną i cenioną Instytutu, jak Concertgebouw, ma Pani chyba rozpoznanie w tym, jakie fakty i zjawiska polskiej kultury i sztuki cieszą się w Pani przybranej ojczyźnie największą popularnością...

— Poza Chopinem i wspomnianymi już kompozytorami oraz kilkoma dyrygentami duże zainteresowanie budzi polski teatr. O wycieczce Józefa Szajny dyskutowano bardzo namilnie, wie się dużo w kręgach kulturalnych o Jerzym Grotowskim, o pantomimie Henryka Tomaszewskiego, ponadto wielkie zainteresowanie towarzyszy filmom Andrzeja Wajdy. Nie chciałabym zresztą wypowiadać się zbyt autoritarnie...

— Zakończmy może wybitnie o najbliższe Pani przeżycie w czasie ostatniego pobytu w kraju.

— Jeśli chodzi o moje osobiste sprawy, nie zapomnę pięknych kwiatów i nowego przyjęcia mełero recitalu w PWSM przez młodzież muzyczną uczelni, która ukończyłam, przez moich młodszych kolegów.

BOGDA MADEJ

WATA

PIERWSZA ODPOWIEDZ

Szukając odpowiedzi na te pytania udalałem się do dawnego Zarządu Aptek w Łodzi. Moi rozmówcy potwierdzają: — waty brakuje. I informują mnie: — codziennie przez co najmniej dwie godziny przyjmuje się interwencje ludzi, którzy nieraz prosto z ulicy przychodzą i pytają, już nie o to nawet dlaczego nie ma waty, ale co mają zrobić, aby zaspokoić swoje higieniczne potrzeby?

Notuję liczby, które ilustrują zjawisko:

— w czwartym kwartale 1975 roku Łódzki Zarząd Aptek złożył zamówienie na 290 ton waty, a otrzymał 147 ton, — w pierwszym kwartale 1976 roku powinno wystarczyć 160 ton, a w styczniu i lutym sprzedano już 120 ton waty, — Te 160 ton waty — komentują moi rozmówcy — powinna wystarczyć przy pełnym pokryciu zapotrzebowania na ligninę i podpaski higieniczne.

— Ale ligniny i podpasek też brakuje. Kiedy brakuje ligniny ludzie zastępują ją wata, kiedy brakuje waty — gazą. A kiedy zabraknie gazy...

Popyt przewyższający podaż rodzi zwykle różne nieprawidłowości. Brakuje papieru toaletowego więc na przykład w szpitalach zamiast papieru używa się ligniny. Są trudności z wata, więc niektóre wielkie zakłady przemysłowe w trosce o swoje załogi zamawiają jej większe ilości. To samo robią placówki służby zdrowia. Tam waty nie może zabraknąć. Ale takie postępowanie komplikuje tylko sytuację na rynku.

Jeszcze nie mam odpowiedzi na pytanie: dlaczego brakuje waty? Gdzie tkwi źródło takiej sytuacji? Jaka jest tego przyczyna?

DRUGA ODPOWIEDZ

W „Polityce” Jacek Maziarzski rozmawiając z mgr Piotrem Liberskim — dyrektorem Zjednoczenia Przemysłowców Zaopatrzenia Farmaceutycznego „Cefarm” pyta:

— „...co się właściwie dzieje z wata?” — „Szybko wzrasta jej zużycie. W 1973 r. poszło 5,5 tys. ton waty, w 1975 r. — 8,5 tys. ton, na rok bieżący przewidziano dostawę 10,5 tys. ton. Prawie 100 procent więcej niż cztery lata temu i wciąż za mało. Zastanawiamy się, jakie są tego przyczyny. Sprawa wcale nie jest prosta. Po części oddziaływanie tu zwiększony poziom wymagań higienicznych społeczeństwa. Poza tym wata zastępuje brakującą ligninę, a ta znowu bywa używana w miejsce pieluszek i innych wyrobów papierniczych, a nawet papieru toaletowego, które dostarczane są nierytmicznie. Wiadomo też, że wata bywa wykupywana do produkcji — wypycha się nią zabawki, na Podhalu dodają do winy, itd. Jakaś część winy spada też na przemysł, który dostarcza wate w opakowaniach po 100 a nawet po 500 gramów, choć nabywcom wystarczałoby opakowania 50 gramowe. Nierytmiczne dostawy powodują, że ludzie tworzą zapasy waty...”

Jackowi Maziarzskiemu być może ta odpowiedź wystarczała, mnie ona nie wystarcza. Dla Jacka Maziarzskiego sprawa waty była jedną ze spraw dotyczących zaopatrzenia aptek, ja uprawiam temat waty i podpasek higienicznych, roku wyprodukowały one 4 590 ton waty i podpasek higienicznych. Na rok bieżący zaplanowano produkcję w wysokości 5 840 ton, ale w wyniku dokładnej analizy możliwości fabryki postanowiono zwiększyć produkcję waty i podpasek higienicznych do 6 400 ton. W 1974 roku pabianicka fabryka wyprodukowała 40 milionów sztuk podpasek. Teraz produkcja wzrosła do 100 milionów sztuk. — Ja już sam nie wiem, co się dzieje — przyznaje dyrektor Edmund Brzeziński.

Staram się więc pomóc. Pytam: — A może macie kłopoty z opakowaniami? — Wate, podpaski pakuje się automatycznie. Z folią też nie jest zbyt dobrze, więc może tu tkwi źródło rynkowych kłopotów. Ale okazuje się, że nie. Pytam dalej:

— To może macie kłopoty z surowcem?

Surowiec Pabianickim Zakładom Środków Opatunkowych dostarcza Jeleniogórskie Zakłady Włóknin Sztucznych. Opanowują one wprowadzić nową technologię produkcji surowca dla wytwarzania waty, ale kłopotów z tym nie ma.

— Więc co? — Trzeba się właściwie cieszyć — mówi dyrektor Edmund Brzeziński — że rośnie w społeczeństwie poziom higieny. O wyższym poziomie higieny i podpaski higieniczne zdecydowały chyba też ubezpieczenie wsi, rozwój oświaty sanitarnej i służby zdrowia na wsi.

To już jest jakaś wskazówka, kierunek poszukiwań odpowiedzi. Tylko, że ten postęp w rozwoju higieny na wsi i w całym społeczeństwie można było przewidzieć.

— „Cefarm” — powiada dyrektor Edmund Brzeziński — w poprzednich latach nie posiadał należytego rozpoznania sytuacji. Nie stawiał nam wyższych wymagań, przeciwnie nawet, hamował nasz rozwój twierdząc, że potrzeby nie są tak wysokie.

I kolo się zamknęło. „Cefarm” pokazuje na przemysł jako na winnego, a przemysł — na „Cefarm”. Nie dajmy się jednak kolować. W tym zamkniętym kole muszą być też jakies czynniki uboczne.

— „Cefarm” — powiada dyrektor Edmund Brzeziński — w poprzednich latach nie posiadał należytego rozpoznania sytuacji. Nie stawiał nam wyższych wymagań, przeciwnie nawet, hamował nasz rozwój twierdząc, że potrzeby nie są tak wysokie.

I kolo się zamknęło. „Cefarm” pokazuje na przemysł jako na winnego, a przemysł — na „Cefarm”. Nie dajmy się jednak kolować. W tym zamkniętym kole muszą być też jakies czynniki uboczne.

— „Cefarm” — powiada dyrektor Edmund Brzeziński — w poprzednich latach nie posiadał należytego rozpoznania sytuacji. Nie stawiał nam wyższych wymagań, przeciwnie nawet, hamował nasz rozwój twierdząc, że potrzeby nie są tak wysokie.

To już jest jakaś wskazówka, kierunek poszukiwań odpowiedzi. Tylko, że ten postęp w rozwoju higieny na wsi i w całym społeczeństwie można było przewidzieć.

— „Cefarm” — powiada dyrektor Edmund Brzeziński — w poprzednich latach nie posiadał należytego rozpoznania sytuacji. Nie stawiał nam wyższych wymagań, przeciwnie nawet, hamował nasz rozwój twierdząc, że potrzeby nie są tak wysokie.

I kolo się zamknęło. „Cefarm” pokazuje na przemysł jako na winnego, a przemysł — na „Cefarm”. Nie dajmy się jednak kolować. W tym zamkniętym kole muszą być też jakies czynniki uboczne.

— „Cefarm” — powiada dyrektor Edmund Brzeziński — w poprzednich latach nie posiadał należytego rozpoznania sytuacji. Nie stawiał nam wyższych wymagań, przeciwnie nawet, hamował nasz rozwój twierdząc, że potrzeby nie są tak wysokie.

TRZECI PARTNER

„Cefarm” jest odbiorcą waty i środków opatrunkowych. Odbiorcą podpasek higienicznych jest też „RUCH”. Producentami są: Pabianickie Zakłady Środków Opatunkowych, Zakłady Środków Opatunkowych w Czechowicach i oddział w Zwoleńcu Żyrardowskich Zakładów Tkanin Technicznych. Należą one do Zjednoczenia Przemysłu Filcowego i Tkanin Technicznych w Łodzi. Wszystkie trzy zakłady przeszły modernizację. Zgodnie z postulatami „Cefarmu” zaplanowano, że zakłady te w 1985 roku wyprodukują 11 tys. ton waty. Te wielkości muszą jednak dać już obecnie. Wprawdzie „Cefarm” określił produkcję waty na 1976 rok w wysokości 9,5 tys. ton waty, ale rosnący po-

opatunkowych brakuje. Dlaczego? Ciagle nie mam odpowiedzi na to pytanie. Przemysł się zmodernizował, powiększył produkcję przeszło dwukrotnie. Przemysł może nie poczuwać się do winy. Ale to nie rozwiązuje problemu.

— Sprawa jest skomplikowana — powiedziano mi w Zjednoczeniu Przemysłu Filcowego i Tkanin Technicznych. — Mamy na przykład kłopoty z transportem. Stąd i nierytmiczne dostawy. Środki opatrunkowe są lekkie. Trzytonowy samochód załadowany do pełna zabiera 600—700 kg naszych produktów. Transport tego nie lubi.

— Ale to stwierdzenie wyjaśnia tylko przyczynę nierytmicznych dostaw. Nie stanowi odpowiedzi na zasadnicze pytanie: dlaczego środków tych brakuje na rynku?

— „Cefarm” — mówią w Zjednoczeniu — nie zawsze potrafi przewidzieć potrzeby rynku. Nasze fabryki zaproponowały przed paru laty specjalnie przygotowane opatrunki kompresyjne. „Cefarm” powołał się na tradycję, że każdy sam sobie zrobi taki opatrunek z waty i gazy. Dziś opatrunki takie są poszukiwane i rośnie na nie zapotrzebowanie. Musimy dopiero kupić do ich produkcji dalsze, nowe urządzenia.

Zjednoczenie Przemysłu Filcowego i Tkanin Technicznych miało na lata 1971 — 1990 przewidziane 1 900 milionów zł na rozwój produkcji środków opatrunkowych. Do roku 1976 wydano 400 mln zł, 1,5 miliarda zł zostaje na lata 1976 — 1980. Dalszy rozwój przemysłu środków opatrunkowych jest więc zagwarantowany. W przyszłości zatem, po roku 1980, nie powinno być już z wata i innymi środkami opatrunkowymi żadnych kłopotów. Czy rzeczywiście na poprawę zaopatrzenia rynku przyjdzie aż tak długo czekać?

— W sukurs nam — powiedziano mi w Zjednoczeniu — powinien przysłać przemysł papierniczo-celulozowy.

A więc do zamkniętego koła wkroczył trzeci partner. Tego się można było spodziewać.

PRZERWANY ŁAŃCUCH

Planowanie produkcji artykułów mających zaspokajać społeczne zapotrzebowanie — jak się okazuje — nie jest sprawą łatwą. Nie można bowiem przewidywać przyszłych potrzeb tylko w oparciu o czynniki ekonomiczne. A wszystko wskazuje na to, że w interesującym nas przypadku patrzone przede wszystkim na dotychczasowe zużycie, nie biorąc pod uwagę faktu rosnącego poziomu kulturalnego społeczeństwa i poprawy warunków życia. Nie pomyślano też o tym, że ewentualne braki na rynku rodzą niepożądane skutki społeczne. Kiedy pytałam różnych ludzi o przyczynę braku waty, ludzi, którzy na ten problem patrzą z pozycji klienta, to wielokrotnie słyszałam:

— Dlaczego nie ma waty? To proste. Eksportuje się. Otróż w Zjednoczeniu Przemysłu Filcowego i Tkanin Technicznych autorytatywnie mnie zapewniono, że waty się nie eksportuje.



Foto: W. Parys

budowy maszyny papierniczej do produkcji papieru toaletowego w zakładach w Wadowicach, a także nie dokonaj odpowiednich zmian w dwu innych fabrykach. Skutek tego jest taki, że dziś po papier toaletowy tworzą się kilometry kolejk. A tam, gdzie to niezbędne — na przykład w szpitalach — papier toaletowy zastępuje się ligniną, a ligninę — wata.

Wydawałoby się, że planiści powinni byli wiedzieć, że w organizmie społecznym występują wzajemne powiązania i zależności. Ale widać ciągle wydaje się im, że wszystko to działa oddzielnie i powstające luki nie są niczym wypełniane. Jest to przekonanie zupełnie błędne.

W rozmowach na temat przyczyn braku waty i innych środków opatrunkowych kilkakrotnie padły uwagi na temat cen. Mówiono o tym w Pabianickich Zakładach Środków Opatunkowych i w Zjednoczeniu Przemysłu Filcowego i Tkanin Technicznych, podkreślając, że klient obecnie otrzymuje wate lepszej jakości, estetycznie opakowaną, ale płaci za nią tak, jak płacił dawniej. Podobny pogląd wyraził w „Polityce” mgr Piotr Liberski. Powiedział on:

„Postulujemy mianowicie sprzedawanie trzech rodzajów waty: najlepszej — do celów opatrunkowych, drugiego gatunku do celów higieniczno-kosmetycznych i trzeciego gatunku do celów gospodarskich. To samo dotyczy ligniny. Ceny powinny być odpowiednio zróżnicowane. Są to jednak sprawy, które wykraczają poza nasze kompetencje”.

Jest to postulat, nad którym niewątpliwie warto zastanowić się i aby tylko nieczył długo. Zróżnicowanie cen waty w jakiś sposób wpłynie na stan zaopatrzenia rynku. Ale problemu do końca nie rozwiąże. Potrzebne tu jest współdziałanie wszystkich partnerów wytwarzających środki opatrunkowe i takie planowanie produkcji, które nie wywoływałoby zakłóceń na rynku. Skutki jednakże takiego działania odczujemy dopiero w przyszłości.

Szukając odpowiedzi na pytanie: dlaczego brakuje waty? — natrafiałam na różne sprawy, wskazałam różne przyczyny, które złożyły się na skutek o niebagatelnej społecznej treści. Bo w końcu głupia wata urosła do społecznego problemu. Czy znalazłam ostateczną odpowiedź? Jednoznaczna?



Foto: W. Parys

lam się poszukać pełnej odpowiedzi. Wszystko wskazywało, że trzeba jej szukać u producenta. A jednym z producentów waty są Pabianickie Zakłady Środków Opatunkowych.

PRODUCENT TEŻ NIE WIE

— W czwartym kwartale 1973 roku — mówi dyrektor Pabianickich Zakładów Środków Opatunkowych, Edmund Brzeziński — nie mieliśmy co robić. Nie miał kto waty odbierać. Magazyny u nas pękaly. Sam jeździłem wtedy po

JEDNOŚĆ CZY JEDNOLITOŚĆ?

Na czoło problematyki, poruszonej w artykule „Wędrując z teczką po piętach”, wysuwają się zagadnienia funkcjonowania „eksperymentu poznawczego” i pracowni przedmiotowych w procesie dydaktyczno-wychowawczym współczesnej szkoły. Całkowicie doceniając intencje Ewy Ostrowskiej, jednakże kilka zagadnień poruszonych przez autorkę wymaga nieco uzupełnień.

Obiegowe stwierdzenie, iż nauczyciel wychowawca musi przetworzyć klasę w zwarty kolektyw, prowadzi w końcu do fetyszyzacji pojęcia kolektywu klasowego, ponieważ staje się miarą osiągnięć wychowawczych. Na początku roku szkolnego nauczyciel otrzymuje grupę młodzieży dobraną zupełnie przypadkowo, która w ciągu kilku lat będzie musiała przebywać ze sobą przez większą część dnia. Od innych grup dana klasa różni się tym, że w określonym czasie musi zdobyć pewną ilość wiedzy, a do tego wszystkiej podlega równoległe stałemu oddziaływaniu wychowawczemu. Dlatego też nie uważałbym za naturalne zjawisko, aby ponad trzydziestu uczniów czuło się najlepiej tylko w swoim gronie, miało identyczne zainteresowania, podobne reakcje itd. Podział klasy na kilka grup świadczy między innymi o rozwoju osobowości wychowanków. Trudno zatem w takim przypadku dopatrywać się tylko negatywnych zjawisk. Trzeba zatem przed rozpoczęciem pracy dydaktyczno-wychowawczej ustalić z rodzicami i uczniami zakres pojęcia kolektywu klasowego.

Staje się to bardziej zrozumiałe, kiedy wnikiwie się w istotę „eksperymentu poznawczego”, w którym przede wszystkim chodzi o wyrobienie określonych postaw zobowiązań wobec innych uczniów, co w konsekwencji powinno przekształcić się w umiejętność życia w grupie. Nauczyciel wychowawca musi zatem tak organizować proces dydaktyczno-wychowawczy, aby uczeń dostosował się do zespołu klasowego, a jednocześnie nie zatracił swojej osobowości.

Przełożenie środka ciężkości z koncepcji na metodę ciężkości spowodowało u Ewy Ostrowskiej kilka nieścisłości, ponieważ w tym przypadku aktywna postawa ucznia na terenie szkoły jest tylko środkiem realizacji, a nie istotą „eksperymentu poznawczego”. Trudno także pominąć milczeniem fakt podany przez autorkę, że „podział uczniów szkoły podstawowej na trzy odrębne grupy wiekowe, dla których treść i forma pracy wychowawczej jest odpowiednio — zgodnie z właściwościami rozwojowymi dziecka — dostosowana” — jest objawieniem w polskiej pedagogice i dydaktyce. Wystarczy sięgnąć do książki Jana Kuchty pt. „Rozwój psychiczny młodzieży a praca szkolna”, aby przekonać się, że realizowano tę zasadę chociażby w roku 1934 (wyd. III).

Jeżeli już mówimy o jednolitości w wychowaniu młodego pokolenia, to trzeba pamiętać, że chodzi tu przede wszystkim o korelację działań pomiędzy szkołą, rodziną i społeczeństwem mających na celu wykształcenie takich cech osobowości, które zostaną zaakceptowane przez ogół. Mimo podobieństwa celów i dążeń szkoła nigdy nie zastąpi rodziny, ponieważ byłby to największy absurd pedagogiczny w dziejach ludzkości. I w tym momencie zgadzam się całkowicie z Ewą Ostrowską. Warto jeszcze dodać, że praktykowane w niektórych szkołach ciągłe wymiany nauczycieli wychowawców w obrębie jednej klasy są jawnym pogwałceniem zasady jednolitości w wychowaniu. Nie stać nas na to, aby jedynym pociągającym przelocować dorobek lat poprzednich.

Czy pracownie są złe? Nie. Trzeba je modernizować, udoskonalać, a nie wyrzucić, jak postuluje Ewa Ostrowska. Nie rozumiem, dlaczego autorka utrzymuje, że „pracownie jako takie, też nie zdają egzaminu. I nie mogą zdawać: pracownia jest jedna, a... trzy oddziały równoległe”. Wystarczy przecieć tak ułożyć rozkład zajęć, aby lekcje następowały jedna po drugiej, dla każdej klasy oddzielnie. A z podrozdziałami w pracowniach przedmiotowych nie jest tak źle, jak sugeruje autorka.

Te wszystkie pretensje nie pomniejszają jednak zasługi Ewy Ostrowskiej, która miała odwagę podjąć się tak trudnego zadania, jak pisanie o współczesnej szkole. Temat to trudny, ale pisać trzeba, aby było mniej nieporozumień. Stąd też i mój list.

JANUSZ MARCHEWA

Do szkoły prowadzi ulica ruchliwa, rozjeżdżona ciężkimi dźwiękami budowlanymi. Nic dziwnego, nieco dalej widać prace na budowie osiedla. Przed szkołą pięknie — później dowiem się, że to efekt pracy młodzieży. Trawniki, dziesiątki krzaków róż. Tylko dlaczego przez jeden z trawników, mimo tabliczki „Szanuj zieleni”, widać wydeptane przejście dla pieszych? I ja muszę z niego skorzystać. Chodnikiem nie można. Chodnik zapadł się i stoi w bajorze wody. Kto nie chce brodzić w kałuży, musi przejść przez trawnik.

Drobniotka sprawa, prośbuteńka do załatwienia: poprawić chodnik. Dyrektor szkoły zgromadził w tej prośbuteńce drobniotki sprawie bogatą korespondencję. Jednostronna, jednokierunkowa: „do”, „od” — wyjaśnić brak i wyniki o problem chodnika. Problem kiedyś się zlikwiduje, ale nie teraz. Może potem, jak się zapadnie więcej. Może następnej wiosny. Wypaczony chodnik nie zagraża bezpieczeństwu młodzieży. Bezpieczeństwu młodzieży zagraża natomiast prowadząca przy szkole ulica, określana jako „ulica budowlana”. Wypadku jeszcze nie było, żaden dźwięk nie przejechał żadnego dziecka, więc prawdopodobnie dyrektor szkoły cierpi na przeczułeniową nerwicę, bo w piśmie wystosowanym do Zarządu Dróg i Mostów proponuje przeniesienie trasy na inną ulicę. Odpowiedź brzmi kurtuazyjnie i jednocześnie postuluje:

„Przeniesienie nie jest możliwe. Proszę zmobilizować swój Komitet Rodzicielski do opieki nad młodzieżą przechodzącą budowlaną ulicę”.

DYPLOM DLA SZKOŁY

Reżyser Tadeusz Chmielewski nie zrobi serialu o pracy dyrektorów szkół. Nieefektywne to losy. Co dyrektor musi spełnić, żeby zasłużyć na miano dobrego dyrektora?

Liczą się przede wszystkim wskaźniki. Powinny być jak najwyższe. Jak najwyższe wskaźniki, to jak najmniejsza ilość ocen niedostatecznych, jak największa ilość uczniów promowanych z klasy do klasy. Wskaźniki to także wykonanie planu godzin pracy społecznej. To liczba dyplomów, jakie szkoła potrafi zdobyć, oprawić w ramki i powiesić na ścianach. Wysokie wskaźniki w nauczaniu tłumaczą się jako wysoki poziom nauczania. Każdy dyrektor pragnie osiągnąć w swojej szkole wysokie wskaźniki, czyli wysoki poziom. W związku z tym opowiemy dwa fakty autentyczne, które taką mam nadzieję, są wyjątkiem, a nie regułą.



Foto: W. Parys

FAKT PIERWSZY: W liceum semestralne spotkanie z rodzicami klas drugich. Rodzice otrzymują arkusze ocen. Jedne oznakowane plusem, część minusami. Wychowawca wyjaśnia:

— Minusy oznaczają, że uczeń nie wykazuje się dobrymi postęпами w nauce, lecz dostatecznymi. Minusy są po to, aby państwo nie byli zaskoczeni, jeżeli w ciągu drugiego semestru poprosimy państwa o zabranie swoich dzieł z naszej szkoły. Nasza szkoła cieszy się znakomitą opinią i nie może sobie pozwolić na obniżanie swego poziomu.

FAKT DRUGI: Nauczyciel fizyki postawił na semestr trzy oceny niedostateczne. Po czym — otrzymał nagane. Po czym wyciągnął wnioski: odłączyć każdemu nieukowi stawia ocenę dostateczną.

Wskaźniki: to dyplom dla szkoły i jej dyrektora. Dobra szkoła i dobry dyrektor osiągają wskaźniki. Tu przypominam sobie historię nieco humorystyczną. Matka interweniuje u dyrektora szkoły w sprawie syna, który jako uczeń bardzo dobry ze wszyst-

kich przedmiotów został kolejno przez pięciu nauczycieli wytypowany do pięciu różnych olimpiad. Odpowiedź brzmi: syn przysporzył nie tylko laurów sobie, ale zdobył punkty dla szkoły.

W szkole podstawowej, którą odwiedziłam, dyrektor nie zamierza ubiegać się o opinię dobrego dyrektora. Szkoła nie może pochwalić się dużą ilością dyplomów, ani stuprocentowymi wskaźnikami w wynikach nauczania. Nieuk w tej szkole łąduje z dwójką, obniża ją wskaźniki. W tej szkole dyrektor — wieloletni, doświadczony, mądry pedagog, wieloletni kierownik — nie nastawia pracy szkoły na sprawozdawczość, wychodząc z założenia, że nie ona jest najważniejsza. Osobiście przyznałabym tej szkole i jej dyrektorowi, i całemu personelowi nauczy-

mach „organizacji” sprzątnięcia szkoły czuć nad prawidłowym sprzątnięciem przez woźnych. Tylko że z tymi woźnymi krucho, tragedia ogólnoszkolna. Brak ich. Często emeryci, powyżej sześćdziesięciu pięciu. Sprzątnięcie zaś pozornie sprawia wrażenie pracy lekkiej, łatwej i przyjemnej. Zdarzyło się w jednej ze szkół, że młodzież zameldowała dyrektorowi o nieczystościach w toaletach. Dyrektor sprawdził — nieczysto. Zwrócił uwagę woźnej, woźna obraziła się i poszła sobie, a nieczystości pozostały. Wyszło na to, że nieczystości musi sprzątać sam dyrektor, albo posłużyć się grosem pedagogicznym, że ta woźna, która się obraziła, była akurat jedna na całą szkołę — pozostałe przebywały „na chorobowym”. W wielu szkołach „problem woźnej” dyrektor załatwia przy pomocy młodzieży, która w ramach prac społecznych sprząta swoje pracownie, całe piętra. Młodzieży z tego powodu korona z głowy nie spadnie ale nie jest to sposób na rozwiązanie „problemu woźnej”.

Szkole trzeba pilnować i w nocy, bo to obiekt. Trudno wymagać, aby zabił to jeden stróż. O tego jednego nawet trudno, a o zmiennika jeszcze trudniej. Jeżeli dyrektor posiada mieszkanie służbowe na terenie szkoły (a przecież odpowiada za obiekt), to ostatecznie może co drugą noc postróżować. A jeżeli nie? I w ten spo-

przyczyny, że odpowiada bezpośrednio za pracowników usługowych i musi jako odpowiedzialny przygotować wyczerpania i zestawienia ich godzin pracy.

CZY OPISYWAĆ AKADEMIE?

Dyrektor szkoły spełnia na co dzień rolę opisywacza. Opisać musi mnóstwo. Odpowiada za prawidłowy instruktaż dla nauczycieli. Prawidłowy instruktaż, to prawie podstawa prawidłowego toku pracy w szkole, pomoc dla nauczycieli początkujących niezbędna, bieżący sprawdzian wyników nauczania, metod nauczania.

Instruktaż polega między innymi na hospitowaniu lekcji przez dyrektora. Dobry dyrektor powinien (ile razy w roku?) hospitować każdy przedmiot, czyli każdego nauczyciela. To jest jedyna godzina lekcyjna przemnożona przez liczbę nauczycieli zatrudnionych w szkole (a są zespoły nauczycielskie liczące około czterdziestu osób) przemnożona następnie przez: omówienie lekcji i opisanie hospitacji w arkuszu. Według dyrektorskiej opinii jedna hospitacja pociąga za sobą trzy godziny pracy. Żaden dyrektor nie neguje bynajmniej potrzeby systematycznych, stałych hospitacji, ale wielu zastanawia się nad ich szczegółowym opisywaniem. Gdyby zresztą dyrektor mógł skończyć na tym jednym opisywaniu. Ale nie może, w każdym razie nie powinien, jeżeli chce wypełnić dobrze swoje obowiązki.

Jednolity system wychowania dzieli uczniów szkoły podstawowej na trzy grupy wiekowe, każda grupa wiekowa ma w każdy poniedziałek swój oddzielny apel, każdy apel każdej grupy dyrektor powinien hospitować, a potem hospitację opisać. Tygodniowo przybywa więc dyrektorowi następne trzy godziny opisywania. Akademia w szkole też podlega obowiązkowi hospitacji i opisania. Nie wiem, czy wymieniałam wszystko to, co dyrektor opisyje. Może się już w tym pogubiłam. Są dyrektorzy, którzy wszystko opisyją. Są też i tacy, którzy w opisywaniu robią selekcję. Nie opisyują akademii, apeli, bo wolą hospitować lekcje.

JAK ZNALEŹĆ ZASTĘPSTWO?

Zawód nauczyciela sfeminizował się już dawno. Kobieta nauczycielka jest podstawą szkoły. Tak się jakoś składa, że kobieta, chociaż nauczycielka, posiada własną rodzinę, dzieci. I, jak każda kobieta „pracująca”, korzysta z rozmaitych form zwolnień. Otrzymuje zwolnienia, gdy zachoruje jej dziecko, albo gdy idzie na urlop macierzyński. I oto w szkole, ze względu na feminizację zawodu, jak również na realne osiągnięcia socjalne, występuje problem numer jeden: absencja. Absencja — zjawisko dezorganizujące rytm pracy całej szkoły.

Zorganizować zastępstwo w szkole jest bardzo trudno. Zespół nauczycielski — po pierwsze — jest liczbowo nieduży, po drugie — ściśle specjalistyczny. Matematyk nie zastąpi polonisty, fizyk — geografa. W praktyce zastępuje: zadaje z podręcznika „odtąd — dotąd”. Ale na zastępstwo z zajęć technicznych czy wuefu matematyk ani fizyk ani polonista nie pójdzie. Są etaty pojedyncze, nie da się ich zdublować. Jedna polonistka może uczyć, zastępując chorą koleżankę, jednocześnie w trzech równoległych oddziałach, stosując metodę łączenia albo chodzenia od klasy do klasy.

Nieobecność nauczycieli, brak zastępstw — to powody dla których dyrektor sięwieje. Jest bowiem jako dyrektor odpowiedzialny za zastępstwa, za prawidłowy tok pracy, za wyniki nauczania. W jednej ze szkół przeciwko powtarzającym się nieobecnościom nauczycielek zbuntowali się rodzice. Na zebraniu padły ostre, niesprawiedliwe słowa, krzywdzące zarzuty. — Ktoś musi ten problem jakoś rozwiązać — stwierdził jeden z rodziców. — Obiektywne przyczyny nas nie interesują. Nas interesuje efektywny wynik nauki. Ktoś jest przecież odpowiedzialny za organizację pracy. Niech ją jakoś zorganizuje.

Kto?

BRAK ZAUFANIA

Dyrektor ma obowiązki. Bardzo ich dużo. A prawa?

W ramach uprawnień administracji w każdej dzielnicy powstał Zarząd Administracyjno-Ekonomiczny, skupiający całą księgowość szkół, programując przydziały budżetów dla poszczególnych szkół. Dyrektor szkoły nie partycypuje w ustalaniu budżetu dla swojej szkoły. Ustyszałam takie „dyrektorskie” pytanie:

— Jak szkoła ma funkcjonować, jeżeli mnie, odpowiadającego za całokształt problemów szkoły pomija się w ustalaniu budżetu dla mojej szkoły, której aktualne potrzeby znam najlepiej z racji funkcji, a nie może ich znać główna księgowa zarządu.

Dyrektor nie przyjmuje do pracy nauczycieli. Dyrektor może zatrudnić tylko kucharkę lub woźnego. Dyrektor widać najlepiej zna się na gotowaniu i sprzątnięciu.

EWA OSTROWSKA

DYREKTORSKIE OBOWIĄZKI I ZMARTWIENIA

cielskiemu wielki dyplom. Ale nie mam uprawnień.

DYREKTOR POWINIEN...

Dyrektor — jak wiadomo — odpowiada za całość. Za całość budynku, ogródka, ulicy, skwerku przed szkołą. Za remont tego budynku i bezpieczeństwo młodzieży na ulicy i na szkolnych schodach. Za ogrzewanie tego budynku i sprzątnięcie. Za popłatę uszczelkę w kranie. Odpowiada za całokształt procesów dydaktycznych, jak również za organizację tych procesów. Za prawidłowe zabezpieczenie dla całej szkoły frontu prac społecznych. Za instruktaż dla nauczycieli. Za organizację szkoleń, wykonanie planów w zakresie obrony cywilnej. Za ilość członków w szkolnym kole TPP-R i PCK. Za prawidłowe wdrażanie jednolitego systemu wychowania. Za szkolenia metodyczno-ideologiczne. Za pedagogizację rodziców. Za świetlicę i bibliotekę.

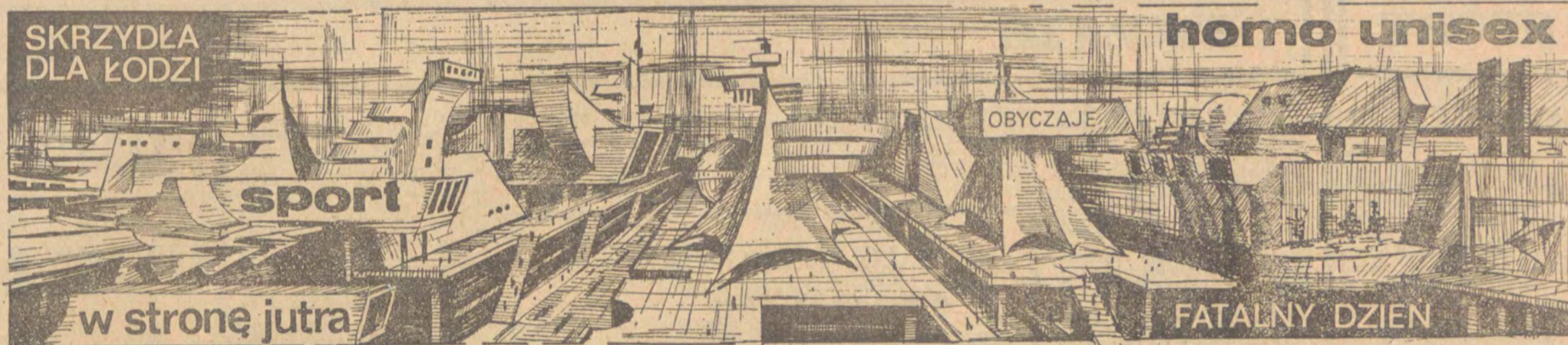
Dyrektor szkoły powinien: w ra-

sób „problem stróża” spędza dyrektorowi sen z oczu.

A personel kuchenny? To znowu problem. Przypatrzmy się jednej szkole. Tu szkolna stołówka wydaje codziennie prawie trzysta obiadów. To minimum potrzeb młodzieży (siedmiuset uczniów), ale dla możliwości szkoły maksimum, więcej nie zdoła. Te sprawy trzysta obiadów przygotowuje personel złożony z trzech osób. A przygotować nie znaczy tylko ugotować, to również znaczy jeszcze pozmywać: talerzy dwa razy po trzysta, po zupie i drugim daniu. Nie licząc już garów, ani kubków od kompotu. Jeżeli teraz jedna osoba pójdzie „na chorobowe”, to jej pracę muszą wykonać pozostałe dwie. Tu też często w ramach prac społecznych młodzież zmywa nauczynia. Młodzieży i przy tej pracy korona z głowy nie spadnie, przeciwnie, ale... Nie chcę się powtarzać, bo to staje się już nudne.

Nudne dla czytelnika, dla autora, ale nie dla dyrektora. Już może nawet nie z tego powodu, że jest odpowiedzialny za całokształt, ale z tej prostej

SKRZYDŁA
DLA ŁODZI



w stronę jutra

homo unisex

OBYCZAJE

FATALNY DZIEŃ

ODGŁOSY

NR XYZ

1 KWIETNIA 2076

CENA 1 GROSZ

REKOMENDACJE

Stało się. Wehikul czasu został wynaleziony. To, co już w 1895 roku przewidział wielki H. G. Wells zrealizował w niespełna sto lat później Franuś Sikora.

Najpierw może kilka słów o samym bohaterze. Franuś Sikora jest wielce utalentowanym młodzieńcem. Bez żadnych nalogów. Cały swój wolny czas poświęca dokonywaniu wynalazków. Jest studentem szóstej klasy szkoły podstawowej, ale to mu wcale nie przeszkadza w dokonywaniu rzeczy niebywałych. Jest to bowiem bardzo pracowity młodzieniec. Ma swój pogląd na życie, a szkołę traktuje jako przykry obowiązek i regularnie uczęszcza na zajęcia, aby nie ranić dobrych serc swoich rodziców. Dlatego też nie podejmuje dyskusji z nauczycielami, gdy ci się myślą. Franuś bowiem podróżując w przeszłość i przyszłość wie trochę więcej i lepiej.

Franuś Sikora zawierzył nam i pokazał swój wehikul czasu. Skonstruował go w bardzo prosty sposób, wykorzystując wannę, różne odzyskane ze złomu rurki, druty itp. Wehikul czasu zmontował w łazience. Trochę to niewygodne. Raz działo Franusia zamiast wziąć kąpiel udał się w daleką przeszłość, z której wrócił wielce przerażony i trzeba było wzywać Pogotowie Ratunkowe. Skrzyżowanie wanny z wehikulem czasu ma i tę złą stronę, że podróżować w przyszłość i przeszłość trzeba na golasa.

Skorzystalismy z propozycji Franusia Sikory i udaliśmy się w przyszłość. Dokładnie w rok 2076. Coś tam widzieli, tego nie opowiemy. Jak dożyjecie, zobaczycie sami. Aleśmy od naszych przyszłych kolegów otrzymali na 1 kwietnia 1976 roku specjalnie przez nich zrobiony numer „Odgłosów” i dostarczony dzięki uprzejmości Franusia Sikory. Niniejszym prezentujemy ten numer naszym Czytelnikom.

WSZELKIE SKOJARZENIA ZE WSPÓŁCZESNOŚCIĄ SA NIEZAMIERZONE I ZUPEŁNIE PRZYPADKOWE!

Ewentualne pretensje prosimy kierować na ręce genialnego wynalazcy pod adres: Franuś Sikora, Łódź, ul. Siarczana nr 125 m 348, piętro 45, klatka schodowa „Z”.

KULTURA

JAZYK WIESŁAWSKI

W STRONĘ JUTRA

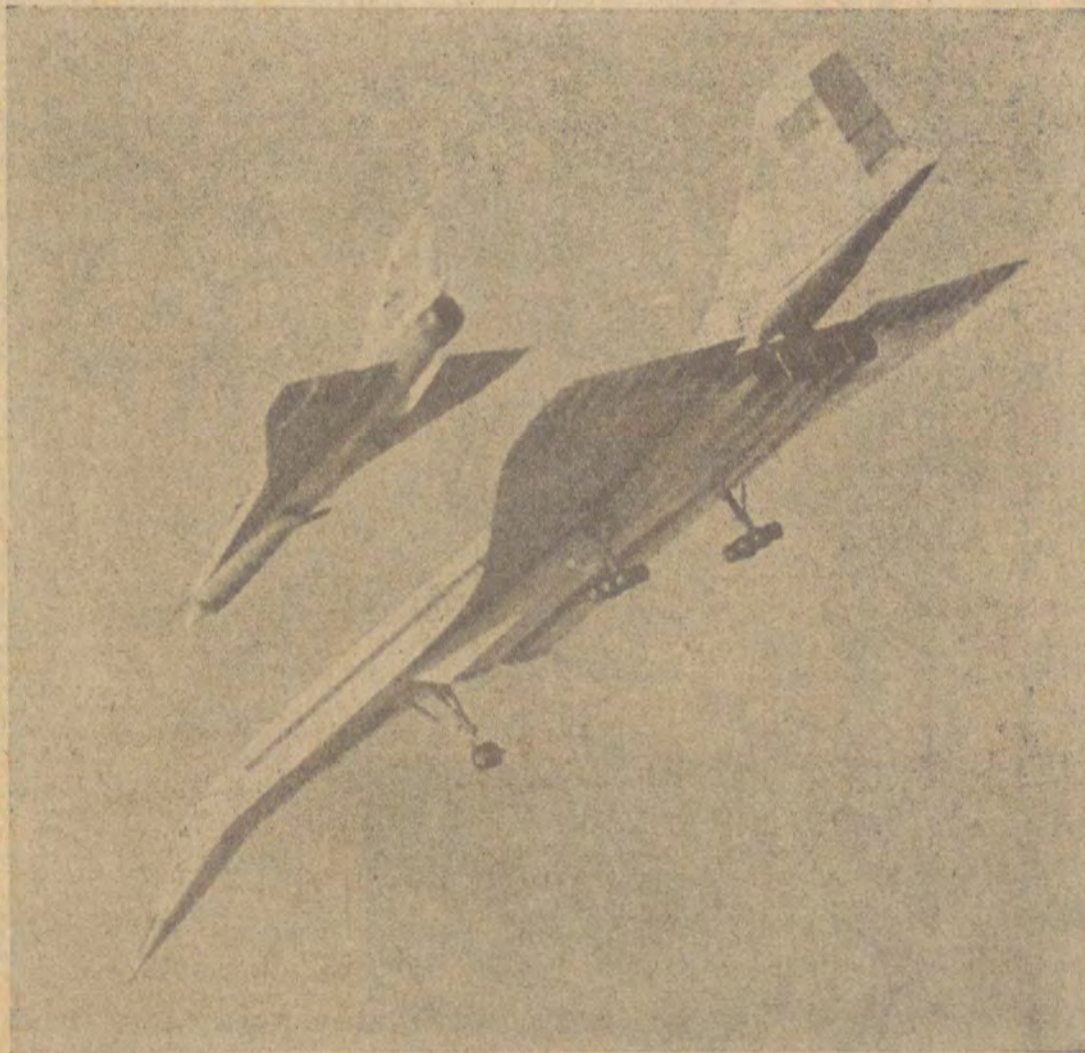
Byliśmy uczestnikami doprawdy ważnego wydarzenia. Łódzki Sejmik Działaczy Kultury udał się ponad wszelkie oczekiwania. Poprzedni odbył się dokładnie 35 lat temu i zapewne sład taka mnogość problemów, które przez ten czas zdążyły się nagromadzić. Obrady toczyły się w okazałym pałacu przy ulicy Ogłódowej, gdzie trwała intensywne prace nad koncepcją Muzeum m. Łodzi, rozpoczęte przed 25 laty. Jak mało znaczy czas wobec wielkich idei — taka właśnie refleksja nasunęła mi się przy wejściu.

Dalszy ciąg na str. III

KOMUNIKACJA

MONIKA FREJDLICH-JASIEŃ

SKRZYDŁA DLA ŁODZI



Blisko sto lat temu mój dziadek Konrad Frejdllich, znany i popularny w owym czasie dziennikarz i literat, sformułował danię, które zrobiło zawrotną karierę publicystyczną. W pełnym pasji cyklu artykułów domagał się on ni mniej, ni więcej tylko wybudowania największego w Polsce lotniska komunikacji międzyna-

rodowej na terenie województwa skierniewickiego, w polowie drogi pomiędzy Warszawą i Łodzią, aby służyć mogło ono jednocześnie mieszkańcom tych dwu największych ośrodków miejskich naszego kraju. Nawet jak na owe czasy nie była to myśl nazbyt śmiała. W innych krajach już od dawna

lotniska odsunęły się znacznie od granic administracyjnych wielkich aglomeracji miejskich. Lotnisko Domodedowo w Moskwie, gdzie znajduje się obecnie Centralne Wszechświatowe Muzeum Lotnictwa Komunikacyjnego, lokalizowane było pierwotnie po-

Dalszy ciąg na str. II

WIEŚ

BINEK

RYSIOWSKI

Jesienne słońce omiatało jaskrawym blaskiem heliodymy za stodołami. Helikoptery wygładały, jak zakrzepłe w zlocie wielkie, kolorowe wałki.

Ciszę poranka zakłócały jedynie skrzypy hydroforów i pobrękiwanie baniek na sunącym do Centrum Zlewu taśmociągu.

Patuła wyszedł za stodołę; ziewnął, rozpiął się i pogwizdując stereofonicznie zrobił siusiu.

— Tak — splunął zapinając spodnie — podorywki trza robić. Wszedł do garażu, zaprogramował autoląggnik, spuścił go z tańcucha i pognał w pole.

— Zalewajkę przesoliłaś — zganął żonę krzywiąc się nad talerzem.

— To nie małki wina — odezwała się córka, cybernetyk SKR — Do Centrum GS-1 przystali parlię wybrakowanych dozatorów.

FATALNY DZIEŃ

— Rozpuściła was automatyka — mruknął Patuła — Drzewiej, jak mawiał mój dziad, gospodynj językiem próbowała strawy. I zatrue nie było...

W obejściu rozległ się wielki szum, któremu zawiórował wrzask kur Patułowia wybiegła za drzwi. Nad kurza farmą wisiał helikopter sąsiada Gębala. Spłoszone kury tłukły się o siatki, wirowały nad nimi tumany pierza.

— Boga w sercu nie macie! — załamała ręce Patułowia. — Toż one jajka pogubią ze strachu, przestaną się nosić.

— A wasz Boga ma w sercu? — zapytał wychylony z kabiny Gębala.

— Bogiem się nie podpieraj! — wrzasnął wybiegający z izby Patuła. — Czyj autopilot prowadził księdza z procesją? Może twój?

— Twój, ale mój automat baldachim rozplina nad księdzem!

— Zostaw w spokoju kury! — krzyknął Patuła.

— Taki żeś pobożny — nie dostyśzaś sąsiad — a ziemię kradniesz? Twój traktor w miedzę się wuruje!

— Mogłeś wyłączyć.

— Nie znam szyfru. Specjalnie żeś go wpuścił złodzieju.

Zdenerwowany Patuła chwycił

Dalszy ciąg na str. III

SPORT

BĘDZIE LEPIEJ?

Kontrolne spotkanie, jakie rozegrał ostatnio ŁKS z kadrą Szkolnego Związku Sportowego, całkowicie rozczarowało kibiców. Jeśli piłkarze ŁKS zagrają w taki sposób w najbliższych meczach ligowych, to można mieć całkowitą pewność, że spadek z pierwszej ligi stanie się faktem. Na boisku było wiele zamieszania, ale bardziej skutecznie grali piłkarze SZS i to zdecydowało o ich wysokim zwycięstwie 4:1.

Po meczu trener-koordynator ŁKS powiedział:

— Pół roku temu zakupiliśmy w „Elwro” rewelacyjne roboty do trenowania naszego zespołu. Takie roboty stoją najlepsze drużyny polskie i zagraniczne. Niestety, sprowadzone roboty całkowicie zawiodły. Piłkarze zbyt szybko spoufalili z nimi. Klepali je po plecach. Nie słuchali. I wymyśliли cały system oszukiwania robotów na treningach. Jednego z robotów — trenerów przerobili nawet na sokowizymakę.

W tej sytuacji — kontynuował trener-koordynator ŁKS — znów znaleźliśmy się w punkcie wyjścia. Zarząd Klubu wystosował pismo do „Elwro” z prośbą o skonstruowanie nowych robotów, odpornych na pomysły piłkarzy. Jak nas zawiadomiono, prace nad skonstruowaniem takich robotów są już ukończone i za kilka dni cała partia robotów-trenerów przywieziona będzie do Łodzi.

Wypowiedź trenera-koordynatora ŁKS mogłaby napawać nas optymizmem, gdyby nie fakt, że jest to już 37 wymiana trenerów-robotów. Jak do tej pory wszystkie zespoły robotów sprowadzane z Wrocławia nie sprostaly pomysłowości piłkarzy ŁKS. Są oni ciągle na końcu ligowej tabeli i widać jest im z tym bardzo dobrze.

Zarząd ŁKS prosi wszystkich kibiców o wyrozumiałość, cierpliwość i gorący doping, zapewniając, że tym razem wszystko już będzie dobrze. Oby!

MAGDA BODAJ

OBYCZAJE

Przed Sądem Aglomeracyjnym w Łodzi stanął onegdaj 32-letni Stanisław Sobolski oskarżony o wtargnięcie do gmachu przy al. Kosciuszki 10 i zdemolowanie pomieszczeń i eksponatów Muzeum Telegrafii i Telefonii.

Oskarżony nocą z 15 na 16 marca, uderzył się w pneumatyczną siekierą oraz ultradźwiękową brzytwę zmylił czułość mechanicznego portiera, uszkadzając w przemyślny sposób jego fotokomercyjny, a następnie rozbił siekierą żelbetonowe wierzaje dostal się do wnętrza budynku. U wejścia jednym cięciem brzytwy odciął przewody zasilające strażnika, obojętniając go skutecznie.

Utorował sobie w ten sposób drogę do pomieszczeń wideofonicznej centrali, w której zastał kilkanaście pracujących wideofonów. Niespodziewanie wtargnięcie uzbrojonego w siekierę i brzytwę furiała wywołało ogromny popłoch. Wideofonistki wzywając pomocy opuściły halę główną centrali. Stanisław Sobolski tylko na to czekał: jak opętany, raz za razem, uderzał w aparaty i urządzenia, rozbijając je systematycznie siekierą w drobny mak, a równocześnie — tnąc brzytwą wiązki kabli.

Zanim na miejsce przybyła milicja, zdążył on zdemolować dościaną całą centralę. Nie dziwnego go: od momentu napadu do obywateli napastnika upłynęło

połtorę godzin. Tyle bowiem czasu jedna z wideofonistek straciła na poszukiwanie czynnego automatu wideofonicznego, którego zdolała dopaść dopiero w Pabianicach. Szkoda, że nie udało się na po-

ly wydarzenia, które — jak pamiętamy — na miesiąc, trzy dni i osiemnaście godzin pozbawiły całe centrum Łodzi przewodowej łączności. A nawet, rzecz można, łączności w ogóle, gdyż zagęszcze-

IRENEUSZ JACKOWSKI Z SIEKIERĄ NA WIDEOFONY

szukiwania w przeciwnym kierunku, gdyż — jak nas poinformował dyrektor Urzędu Wideofonów Miejskich — czynny automat znaleźć można było owej nocy już pod Ozorkowem.

Tak, mniej więcej, przebieg mia-

nie wszystkich pasm i fal jest w Łodzi już tak daleko posunięte, że o łączności radiowej praktycznie nie ma mowy.

Taki zatem przebieg miało karygodne targnięcie się oskarżonego na mienie społeczne wyjątkowej

ZDROWIE

Ciekawa inicjatywa zrodziła się w jednym z łódzkich Zespołów Opieki Zdrowotnej. Dyrekcja ZOZ, wychodząc naprzeciw zapotrzebowaniu społeczeństwa, wprowadziła całkowitą samoobsługę w kilku przychodniach tak leczenia podstawowego, jak i specjalistycznego.

Pacjenci nie muszą już wystawać pod okienkami rejestracji i wysiadywać pod gabinetami lekarskimi. Nasz reporter odwiedził w towarzystwie z-cy dyr. nac. ZOZ — lek. med. Juliana Smełowicza, jedną z eksperymentalnych przychodni.

W halu przychodni ustawiono kilka automatów. Jeden z nich mierzy pacjentom temperaturę i ciśnienie. Inny znów dokonuje analizy krwi. Tu wystarczy wsunąć palec w odpowiedni otwór automatu, a w ułamku sekundy na świetlonej tablicy pojawiają się wyniki analizy. Pacjenci mają również do dyspozycji automaty do analizy moczu, automatyczne elektrokardiografy i elektroencefalografy, a także automatyczne kabiny rentgenowskie.

Pozostała aparatura i sprzęt mieszczą się w wydzielonych gabinetach specjalistycznych. Zastanawiamy do jednego z gabinetów, gdzie pacjent wykonuje sobie punkcję wątroby automatyczną strzykawką. W innym gabinecie zastajemy pacjenta, który wychyla sobie do gardła długą na metr rurę o grubości trzech pal-

ców, mocując się z nią niczym z boa duszycielem.

— Urządzenie to — wyjaśnia dyr. J. Smełowicz — składa się z miliona cieniutkich nitczek skła-

pacjent może, bez dokonywania operacji, obejrzeć swój przewód pokarmowy od wewnątrz, aby stwierdzić, że — na przykład — rogną mu w brzuchu wrzody, jak,

FILON MARKOWSKI PACJENT LECZY SIĘ SAM

nych, które umieszczone wewnątrz rury przekazują, po wprowadzeniu jej do żołądka lub dwunastnicy, obraz ich wnętrza. Tym samym

ha, ha, grzyby po deszczu. Aparat ten nazywa się autofibroskop. Nie należy go jednak mylić z tradycyjnym fibroskopem, który, jak wia-

domo, wymagał kilkusobowej obsługi lekarsko-pielegnarskiej. Ten natomiast, jak pan widzi, wymaga tylko autoobsługi.

Wyniki autobadań prowadzonych przez pacjenta nioszone są przez kolejne automaty na specjalną kartę perforowaną. Kiedy pacjent uzna, że ilość badań jest już wystarczająca, pochodzi do ostatniego automatu sprężonego z małym komputerem. Wsuwa swoją kartę i po upływie 1,73 sek. otrzymuje ostateczny wynik w postaci diagnozy i propozycji leczenia.

Po wizycie w gabinecie komputerowym pacjent pobiera zwolnienie — to jeszcze załatwia lekarz — i załatwia inne mniej lub bardziej zbędne formalności, a następnie udaje się do mieszczącej się w tym samym budynku apteki samoobsługowej.

— No, cóż — mówi dyrektor naczelny ZOZ — dr Gustaw Bękowski — wydaje mi się, że ziszcila się wreszcie idea, która od dziesiątków lat była li tylko marzeniem wielu administratorów służby zdrowia. Idea całkowitego odsunięcia lekarza od pacjenta. Nasz poprzednik nie miało nakręszki kopii, aby zrealizować tę ideę. Ich sukcesy były jednak połowiczne. Nam to się wreszcie udało.

NAUKA

HOMO UNISEX

Ponad pół wieku minęło już od czasu, gdy dzięki wspaniałym osiągnięciom nauki zrobiony został zasadniczy krok na drodze ludzkości do szczęścia. Krokiem tym było, oczywiście, stworzenie homo unisex, czyli jednopłciowca. Obecnie, gdy dziewięćdziesiąt procent ludzi zamieszkujejących nasz glob jest jednopłciowcami, zniknęła praktycznie zmora nieszcześć od wieków trapiąca ludzkość. Dziś, gdy wszyscy ludzie osiągnęli wewnętrzny spokój i równowagę duchową, wprost trudno sobie wyobrazić ów destrukcyjny wpływ na psychikę ludzką jaki miał fakt istnienia osobników różnej płci. Wpływ ten wyrażał się tym, co jedni nazywali miłością, a inni seksem. Na te tematy terminologiczne toczyły się zażarte spory, często prowadzące do krwawych wojen. Wojny takie toczyły się już w zamierzchłej przeszłości, jak choćby słynna, opisana w literaturze wojna trojańska.

Jak wiadomo dzięki ostatnim badaniom akademika Tadeusza Żechowskiego potwierdziła się starożytna wersja mówiąca o genezie tych nieszcześć ludzkości — wersja, która dotychczas uważano za bajkę. T. Żechowski, po przeczytaniu i potowaniu wielu starych tekstów, zrekonstruował okoliczności wyodrębnienia się płci odmiennej (jeszcze jeden kontrowersyjny termin).

Słynny akademik twierdzi, że pierwszego człowieka powołał do życia na Ziemi przybysz z innych planet. Był tym człowiekiem jednopłciowcem Adam, który miał na swoje nieszczeście jakąś ukrytą wadę konstrukcyjną, gdyż bardzo tęsknił za towarzystwem. Dotąd też naprzykrzał się swym



stwiercom, aż ci stworzyli dla jego uciechy ową istotę płci odmiennej. Nie bacząc na fakt, że Kosmicci nie dali mu praktycznie szans wyboru, ani też nie myślał o opłakanych konsekwencjach swego kroku dla przyszłych pokoleń, Adam wodził się przyjął ją do grona ludzi.

Odłaz zaczęło się pasmo cierpień i udręk i dopiero słynny eksperyment przeprowadzony w roku 2019, który doprowadził do wyprodukowania pierwszego homo unisex i przekazania funkcji rozrodczych specjalnie zaprogramowanej maszynie, zmienił radykalnie sytuację. Od tej chwili ludzie mogli skontentować całkowicie swoje wysiłki na realizacji zadań o zasadniczym znaczeniu dla ludzkości.

W tej sytuacji zupełnie niezrozumiała jest postawa i działalność niektórych, nielicznych na szczęście, jednostek, które wyciągają z zapomnianych strychów, z punktów skupu makulatury stare, drukowane w latach 70-tych XX wieku flustrowane magazyny, tzw. „świerczyki”, najczęściej wydawane w Danii i po powieleniu kolportują je wśród młodzieży licealnej, akademickiej i emerytów. Musi to być dziwny fakt, że artykule tego rodzaju, o stosunkowo niskiej jakości reprodukcji, wycięte od ciężkiego czytania, mogą w ogóle znaleźć nabywców. W związku z tym próbe dotarcia do źródła owej fascynacji dawną literaturą podjęła grupa socjologów jednego z naszych uniwersytetów. W wyniku ich badań dla prasy „Świerczyk” wyrażił przynuszenie, że zjawisko to ogranicza się jedynie do pewnego marginesu społecznego i jest typowym przejawem ludzkich tęsknot za wszystkim, co dawne i dobrze sprawdzone.

MONIKA FREIDLICH — JASIEŃ

KRAK BOGDANIN

KOMUNIKACJA

SKRZYDŁA DLA ŁODZI

Dalszy ciąg ze str. 1

nad 50 km od granic miasta. Doskonale zakonserwowane stoją tam dzisiaj z wyłączeniem na zawsze silnikami samoloty, które spowodowały przełom w przewozach pasażerskich: poczwórny Iluszyński zwaną popularnie „Iłami” w wersji Il-18, Il-62, Il-68, równie wyślizżone Tupolew, znane niedługo pod nazwą Tu, pozycyjnacie od Tu-104 (pierwszy dwusilnikowy odrzutowy samolot komunikacyjny), poprzez skłonskrzydły aparat Tu-134, aż do rewelacji swego czasu, czterosiłnikowego naddźwiękowego Tu-144, który równocześnie z francusko-brytyjską „Concorde” przeobraził pierwsze szlaki komunikacyjne z dyktando większą od dźwięku. Długa byłaby lista maszyn, które spotkamy w Muzeum w Domodoludowie. Polska ze wzruszeniem ogląda samoloty RWD, które w roku 1927 saraaniem konstruktorów: Rogalskiego, Wigury i Drzewieckiego, zapoczątkowały rodzimym przemysł lotniczy. Hej, iza się w oku kreć, gdy przypominamy sobie ówczesne rekordy. A przecież ów-

niepełna rozumu. Już ponad 10 lat staram się spopularyzować ideę budowy wspólnego dla Warszawy i Łodzi lotniska pasażerskiego, ale wciąż natrafiam na mur niezrozumienia, a nawet niechęci. Brak mi już sił, żeby odpowiadać na te wszystkie polemiki, a nawet napisać prasowe. Stałom się obiektem powszechnego szyderstwa jak swego czasu parapsycholog Czesław Klimusko. Ci, którzy mnie popierają i podtrzymują na duchu zachęcają do wytrwania, nie mając niestety tych wpływów, co u stosunkowani stoleczni przeciwnicy”.

Żeby zrozumieć tę gorzyc nie starożesz człowieka (działek mój miał w roku 1990 dopiero 50 lat) trzeba przypomnieć, że Łódź, podobnie jak dzisiaj, była drugim pod względem ilości mieszkańców miastem Polski, mimo to nie posiadała lotniska. Dopiero w kilka lat później wybudowano skromny obiekt tego typu, który zdolny był przyjmować niewielkie maszyny bliskiego zasięgu, znane dziś tylko historykom komunikacji samoloty typu AN konstrukcji Olega Antonowa. Pasażerowie tamtych balczonych czasów, ceniąc ich niewątpliwie walory, przezywali te maszyny pieszczołtliwie „Antkami” co zdaje się świadczyć, że zdobyły sobie ich sympatię.

W papierach mego dziadka zachowały się szkice i rysunki projektowanego przez niego lotniska dla Łodzi, co dowodzi, że konsultował się ze specjalistami budownictwa komunikacyjnego, którzy go wspierali fachową radą. Dziś oczywiście projekty te są przestarzałe, ale mogą nas zainteresować jako dokumenty myślenia i twórczego niepokoju, który towarzyszył człowiekowi przez wszystkie stapy ewolucyjnego rozwoju. W tamtych czasach plany te były rewelacją techniczną. Przede wszystkim wszystkie projektowane urządzenia odpowiadały najwyższemu wymaganiom międzynarodowej

organizacji International Civil Aviation, Organization, która zajmowała się opracowaniem norm regulujących bezpieczeństwo, regularność i niezawodność ruchu lotniczego. Zakładając systematyczny wzrost przewozów pasażerskich na wszystkie kontynenty dziadek mój domagał się budowy lotniska o technicznej klasie A z głównym pasem startowym o długości 4500 m wykrzymującym nacisk jednego koła samolotu do 100 ton. Było to więcej niż przewidywały ówczesne normy ICAO. Także rozplanowanie dróg startowych różniło się znaczenie od będących wówczas w użyciu rozwiązań, głównie dlatego, że projekt mego dziadka przewidywał budowę pasów bezkolizyjnych, które w rzeczywistości zwały egzamin na autostradach, a przeniesione do komunikacji lotniczej, co potwierdziło doświadczenie wielu krajów, stały się prawdziwym dobrodziejstwem. Dalsze ulepszenia dotyczyły usytuowania hangarów, magazynów, stacji tankowania (pamiętam wszak że była to jeszcze epoka powszechnego stosowania benzyny jako paliwa) samolotów i całego szeregu urządzeń do celów nawigacji i łączności. Osobnego omówienia wymagałoby projektowane rozwiązanie dworca lotniczego, ale to już zbyt obszerny temat, aby go tutaj przedstawić choćby w największym skrócie. Warto wszakże zwrócić uwagę, że także wówczas kontrolna lotniska umieszczona na skraju pola wsiół, skąd były w owych czasach obszarowane loty Visual Flight Rules (przepisy lotu z widocznością wizualną) miała być rewelacją w skali światowej, pozwalała bowiem na znaczne rozszerzenie korytarza powietrznego i uniemożliwiała bezpieczny start i lądowanie samolotów w odstępnie 40 sek.

Z naszego punktu widzenia wszystkie te rozwiązania wydają się ogromnie archaiczne, aby nie rzec, zabawne, zapominamy jednak, że była to epoka startów powietrznych startujących i lądujących w położeniu horyzontalnym i że osiągały one nawet w locie wysokościowym niezwykle niskie pułapy.

Ludzie tamtych czasów nie potrafili się jeszcze uniezależnić od spadku ciśnienia w wysokich warstwach atmosfery, gdzie w przypadku jakiegokolwiek nieszczelności kadłuba zarówno pasażerom jak i załodze zagrażała

dekompresja, a tym samym śmierć. W powojakach także znajdowała się idea budowy pionowców, a więc startów powietrznych startujących bez dobiegu, jakie dziś bez reszty opanowały nasze niebo. Dlatego też, gdybyśmy chcieli dziś zrealizować ideę zrodzoną przed blisko stu laty, okazałoby się to wielce kosztowne, ponieważ my obywamy się właściwie bez lotnisk w rozumieniu ludzi tamtych czasów. Być może też wysokie koszty sprawiły, że ze wszech miar słuszną ideą lokalizacji łódzkiej nie docekalą się wówczas praktycznego zastosowania. Ale choć tak bardzo zmieniły się warunki wymagania i potrzeby techniczne, zdaje się nie ulegać wątpliwości, że nawet dziś musimy przyznać rację memu dziadkowi w jednym przynajmniej punkcie. Trafnie przewidział on, że lotnisko powinno być usytuowane na terenie województwa skierniewickiego. Mieszkańcy łódzkiej dzielnicy Koluszy i warszawskiej dzielnicy Żyrardów skarżą się wprawdzie, że zwłaszcza oca ruch na łódzkiego zakłada Im sen, ale tego rodzaju narzekania słyszało się zawsze. Jeszcze sto lat temu ludzie mieszkający przy liniach kolejowych uskarżali się przecież na hałas przejeżdżających pociągów. Świadczy to tylko o tym, że świat zmienia się szybciej niż zamieszkujejący go ludzie.

Dziś, gdy Łódź i Warszawa mają swoje skrzydła, nie mogę się oprzeć uczuciu dumy, że pierwszy projekt lotniska im. Stanisława Skarżyńskiego zrodził się w mojej rodzinie. Biorę wówczas do ręki książkę mego dziadka (tak, tak, najprawdziejszą książkę, posiadającą papierowe stronicę i tekturowy grzbiet) śliniąc koniuszki palców ostrożnie przewracam kartki i wczytuję się w zdania, które zostały napisane jego ręką. Mój elektryczny czytnik spoczywa wówczas nie używany. Zdaje mi się wówczas, że jego kontrolna lampka mruga do mnie porozumiewawczo, ale z aprobatą, jakby chciała mi dać do zrozumienia, że to co robię da się mimo wszystko pogodzić z duchem naszego czasu.

MONIKA FREIDLICH — JASIEŃ

ARCHIWALIA

Przed 100 laty jeden z łódzkich poetów napisał fraszki, które przeleżały się w archiwach Biblioteki Uniwersyteckiej. Obecnie odkrył je prof. dr Jerzy Feliks Elokwencki. Publikujemy je razem ze zdjęciem autora oraz fraszką na autora innego XX-wiecznego poety.

MIECZYŚLAW MICHAŁ SZARGAN

ŁATKI

NA RYSZARDA BINKOWSKIEGO

Wciąż sypie brzezina,
A czyja to wina?

NA HENRYKA CZARNECKIEGO

Coś z Gałęzińskiego,
Coś z Czarnieckiego.

NA TADEUSZA CHRÓSCIELEWSKIEGO PROZA

Kapitan statku na którym
Wszystkie majtki piszą!

NA ZYGMUNTA FIJASA

W kapeluszu równy gość;
I ktoś!

NA KONRADA FREJDLICHA

Rozgląda się wokół,
Gdzie tu pusty cokół?

NA TADEUSZA GIGGIERA

Czy ci rola satyryczna by zbrzydła,
Bo mam nosa i on czuje kądziła?

NA LEONA GOMOLICKIEGO

Z ruska gada,
Polskim włada!

NA JANA HUSZCZĘ

Twarz smutną dlatego ma,
Gdyż się na wesolkach zna.

NA WIESŁAWA JAŻDŻYŃSKIEGO

Już od samej kołyski
Polonus świętokrzyski!

NA ANTONIEGO KASPROWICZA

I nie mieć tej legendy
I „Harendy”!

NA STANISŁAWA KASZYŃSKIEGO

Oto greckie błagają cię chóry:
„Stasiu, wejdź do literatury!”

NA MIECZYŚLAWA KUCNERA

O ty cybernetyczny słowiku;
Począz utkwiała ci w przeliku!

NA EDWARDA KOPCZYŃSKIEGO

Jak może
Śnieg orze.

NA JANA KOPROWSKIEGO

Jest w tym słynnym uśmiechu
Coś o tobie człowieku!

NA ANDRZEJA MAKOWIECKIEGO

Na marginesie,
Ale pnie się.

NA KAROLA OBIDNIAKA

I sprawa się wydała!
Nie generałem,
Ale jak zostać adiutantem generała.

NA EWĘ OSTROWSKĄ

Weża posłuchała;
Słowu się oddała.

NA TADEUSZA PAPIERA

Gdy Reymont umiera
Już mamy Papiera!

NA MARIANA PIECHAŁA

Aż wyjechał z miasta Łodzi,
Bo mu dym w stolicy szkodzi.

NA WŁADYSŁAWA RYMKIEWICZA PROZA

Jarosław Marek Władysław
Rymkiewicz!

NA HORACEGO SAFRINA

Myśl ta mu z powiek spędza sen:
„Aj, czy ja jestem La Fontaine?”

NA BERNARDA SZTAJNERTA

Pierwszy rezerwowo z ławki
Franza Kafki.

NA EDWARDA SZUSTRA

Plynie czas.
A on: las, las, las...

NA IGORA SIKIRYCKIEGO

Przekonajcie się sami;
Bajarz nad bajarzami!

NA JERZEGO WAWRZAKA

Dramat jego oglądałem;
I plakałem!

NA MARKA WAWRZKIEWICZA

Warszawie postawił tyle koniaków,
Ze pono bić się o niego ma sam Kraków!

NA JERZEGO WILMAŃSKIEGO

„Poemat niedoskonały”,
Lecz na szczęście nie cały.

NA JÓZEFA H. WIŚNIEWSKIEGO

„Zdaje się, że Franek wyszedł”,
Chociaż nie przyszedł!



NA MIECZYŚLAWA MICHAŁA SZARGANA

Jest do wyjaśnienia podstawowa sprawa
(Powiedzmy to w wielkim sekrecie):
Ze złotych polskich nie lubi wydawać
Złoty mi myślami chce płacić w buficie.

KONRAD FREJDLICH

WIEŚ

FATALNY DZIEŃ

Dalszy ciąg ze str. I

cił kamień i prasał w helikopter. Śmigło straciło obroty i maszyna zaryła się w przymie obornika na podwórzu Gębala.

— Dobra — powiedział mściwie wylazłszy z kabiny Gębala — ty mnie jeszcze popamiętasz.

— Ja złodziejem — krzyknął Patuła. — Sam ukradł na zwieszę autopastucha i przerobił na dwie dojarki. A ja muszę teraz krowy kółkować!

Ze złością kopnął w podbrzusze automat kontroli ruchu.

— Jazda, łachudro! Sprowadź traktor na pole, bo cię z wszystkich baterii wypruję!

W południe wpadła do izby Patuła. Chwyta męża za skafander antysaletrowy i z płaczem ciągnie do kurnika. Widok przedstawiał się tam żalony: Mały android wybierał z przegródki jajka i rozgniatł z automatyczną sumiennością. Na podłodze pływają jajecznicza z kopy jaj, w kącie leżały martwe koguty, a pod stopą androida z rozgniecionym łbem dogorywał wielki biały kogut w czerwone łaty.

— Nie do legu, nie do legu — powtarzał android. Ostatni raz przycisnął łeb koguta, aż jęknęły w końcówce amortyzatory.

— Skąd ten kogut? — wybuchnął Patuła.

— Przebył nielegalnie pole siłowe — dukał android.

— Ktoś go wrzucił przez siatkę — mruknęła Patuła.

— Zniszczył koguty, zniszczył koguty — kontynuował android. — Pederasta, pederasta...

— Rozumiem — warknął Patuła. — Podczas zamieszania Gębala zrzucił go z helikoptera.

Struści chodzili do wieczora, ale na tym nie skończyła się mściwość straconego sąsiada. Centralny automat udojowni przesyłał czerwone sygnały: „Brak mleka!”

— Ojciec włączy zoosymulator — poradziła córka.

Procesy fizjologiczne przebiegały prawidłowo. Organizmy krów zawierały paszę i mleko. Wysokoprężne dojarki pracowały.

— Rozregulował zdalnie automata dojarek — powiedziała córka.

— Mściwiec! Daj muterkę, wyleciała z pulpitu.

— Nie ma! Centrum Asortymentowe GS-1 nie posiada na stanie.

— To daj, do cholery, klapcegi! Podkreć go trochę i z głowy.

Uporali się z dojeniem i zasiedli do wieczery. Właśnie Patuła kończył sałatkę z seleropierziołki, kiedy za stodołą wybuchła jasność i po chwili przez drzwi przeniknął osobnik męski, przystojny, ale jakiś blady i sztywny.

— A wy skąd? — spytał zdumiony Patuła.

— Układ Wegi, układ Wegi — zaskandował przystojniak.

— Proszę, gość w dom, Bóg w dom — gospodyni podsunęła zydę. — Co do nas sprowadza?

— Połączenie z obiektem, połączenie z obiektem...

— Z jakim? — przerwał Patuła.

— Podaję dane obiektu: sto pięć, sześćdziesiąt, sto dziesięć, czujniki wideo jasny błękit, otwór pochłaniania paliwa karmin, ofutrzeenie centrum nadawczego blond jasny...

Cybernetyk Patułowna zarumieniła się ślicznie.

— Połączenie z obiektem — jęknęła Patułowna.

— Cicho! — ofuknął ją mąż.

— Jak chce się żenić, to trza pogadać. W posagu coś u was dają? — zapytał.

— Wyższa technika, wyższa technika.

— Co potrafisz? Bo w gospodarstwie nie ma mnemokopii, samemu trza zapieprzać!

— Dematerializuję, dematerializuję.

— Stodołę Gębala! byś zdmuchnął?

Wyszli na podwórze. Zalotnik z Wegi wyjął z kieszeni miniaturowy android laserowy; przycisnął zielony guzik i ze stodoły Gębala została kupka szarego proszku.

— Cholera — szepnął z uznaniem Patuła. — Jesteś zięciem, Matka, daj wódkę!

„Wega” bronił się rozpaczliwie, lecz uradowany gospodarz wlał w niego pół metra kieratowy na jagodach Zięciem huśtało i coś w nim chrzęściło wesoło. Patuła mrugnął do żony i wyprowadził go do stodoły na siano.

— Nieprzywycząjony — powiedział do córki — ale się wyrobi!

Kiedy Patuła ścigał kałesony, w obejściu powtórnie wybuchła jasność. Paliła się stodoła.

— Przez tę gorzałę — zaczęła ryczeć córka. — Rozpaliło go, spięcie w obwodach...

Ojciec drżącym głosem wezwał Centrum Alarmowe OSP-2. Ujrzał w wideofonie pijaną twarz komendanta Zazuli.

— Teraz się palisz? — stęknął komendant — Przecież beczkowiec od tygodnia stoi u kowala. Parametry obreży się nie zgadzają...

Dzięki ofiarnej pracy strażaków, z pożaru udało się uratować fundamenty i żelazną bramę. Niedoszły zięć zdematerializował się.

BINEK RYSIOWSKI

KULTURA

W STRONĘ

JUTRA

Dalszy ciąg ze str. I

Nim rozpoczęły się właściwe obrady wysłuchaliśmy poszerzonej informacji dyrektora Muzeum na temat sali poświęconej literaturze. Badania prowadzone przez specjalistów z Uniwersytetu, zmułne i pracochłonne, pozwalają twierdzić z dużym prawdopodobieństwem, że tacy pisarze jak Reymont, Strug, Tuwim, Piechał i inni, byli jednak związani z Łodzią i są jak najbardziej godni upamiętnienia. W tej chwili toczą się dyskusje nad składem osobowym grupy roboczej, która dokona ostatecznej selekcji uzyskanych materiałów i przedstawi wyżej do zatwierdzenia. Muzeum posiada bogate ar-

chiwum pisarzy żyjących, którzy nie szczędząc trudu nadsyłają nieprzerwanie nowe dokumenty — nie wydane rękopisy, listy pochwalne od krewnych, projekty nie napisanych dzieł, dedykacje pisane przez dobrze widziane osoby obojga pici.

Ten zdecydowanie optymistyczny akcent początkowy towarzyszył obradom Sejmiku. Referat dyrektora miejscowego Resortu Kultury, wygłoszony z taktem, bez pośpiechu ale na temat, wywołał z miejsca żywą i bardzo rzeczową dyskusję. Nie ma powodu jej streszczać, ważne są bowiem konkretne i przyjęte jednogłośnie postulaty.

Najważniejszy z nich dotyczy integracji środowisk twórczych.

Okazało się bowiem, że pisarze nie znają plastyków z całkowitą zresztą wzajemnością, plastycy muzyków, ci zaś tyle wiedzą o filmowcach, co o nich wiedzą aktorzy. Jest to — prosta rzecz — stan nie do utrzymania. Zwłaszcza wypowiedź filmowca na ten temat okazała się bardzo piodna. Film wyekspluował już wszystkich klasyków i już zaproponował kinomanom swoje widzenie całej literatury polskiej. Zabrakło właśnie królów do filmowego ujęcia, wyczerpują się filmonosne pokłady hetmanów i ksiąząt. Trzeba z żywymi naprzód iść — to hasło znane najstarszym uczestnikom Sejmiku z lektury polskiej, podchwycili wszyscy.

Nie zabrakło także istotnych postulatów w zakresie tak zwanej bazy. Mądrość zebranych, poczucie rzeczywistości, kazało zebrany przyjąć tylko najpilniejsze i możliwe do realizacji. I tak zaakceptowano projekt budowy galerii malarstwa oraz nowoczesnego gmachu dla Muzeum Sztuki, które — jak dotąd — wystawia 5 procent swoich zbiorów. Zostanie także wniesiony memoriał w sprawie budowy pomnika Władysława Reymonta, poparty raportem rzeczoznawców, którzy są jednak w stanie dowiedzieć, że wielki pisarz nie tylko uzyskał nagrodę Nobla, ale miał także na myśli Łódź, kiedy pisał powieść pod tytułem „Ziemia obiecana”.

Postanowiono także wykorzystać istniejące możliwości. Stadion ŁKS świeci pustką, ponieważ nasza dzielna jedynastka nie spisuje się najlepiej. Postanowiono więc w miejsce zawodów piłkarskich urządzać zawody poetów w nadziei, że tym sposobem wróśnie liczba odbiorców poezji najnowszej.

Zebrani postanowili w rezolucji końcowej zwoływać Sejmiki częściej, co najmniej raz na ćwierć wieku, co także należy uznać za akcent optymistyczny i wycelowany prosto w jutro, a nie dziś.

JAZYK WIESŁAWSKI

magazyn

NOWA GWIAZDA

ŁÓDZKIEJ PIOSENKI

Wydaje się, że należą już do bezspornej przeszłości czasy, kiedy estradową publiczność bulwersowały przeboje tzw. muzyki młodzieżowej. Po fascynacjach owego nurtu, którego szczyt przypada na lata siedemdziesiąte ubiegłego wieku, przyszły czasy tzw. muzyki czterdziestolatków, następnie tzw. nurt głęboko-średni, charakteryzujący się wokalistami historycznymi, jak Mieczysław Fogg.

Najnowszy nurt estradowej wokalistyki nosi nazwę Złotej Jesieni Estrady i charakteryzuje się powolnym rytmem i nieco drżącą tonacją wykonania.

Rewelacyjną gwiazdą piosenki wyłoniona na koncercie pn. „Nowe Zmarszczki Polskiej Estrady” (w ramach Łódzkiego Bazaru Estradowego) liczy sobie lat zaledwie osiemdziesiąt. Nazywa się Józefa Łopuch i pochodzi z peryferii dzielnicy Widzew. Jako młoda jeszcze starszuszka śpiewała sobie a muzom siedząc przed domem w ocze-

kiwaniu na listonosza. Była jeszcze hołą rencistką, gdy porwał ją kierownik zespołu „Siwe Gitary” i powiódł na tournée po województwie pączęzańskim. I tak się zaczęło.

Od tego czasu Józefa Łopuch śpiewa, tańczy, komponuje i pisze teksty już jako profesjonalistka. Jej rewelacyjny numer, utrzymujący się przez dwa miesiące na dzielnicowych listach przebojów, zrobił furorę także i poza granicami Łodzi.

Publiczność za nią szaleje. Jak grzyby po deszczu wyrastają w Łodzi Fann-cluby Józefy Łopuch, gdzie słucha się piosenek nowej gwiazdy oraz dyskutuje nad barwnymi szczegółami jej bogatego życiorysu artystycznego i intymnego. Jako ciekawostkę podamy, że podobno Józefa Łopuch, jeszcze jako mała dziewczynka podawała kiedyś kwiaty na estradzie herosowi polskiej piosenki końca XX wieku, Jerzemu Polomskiemu.

Dziś inne małe dziewczynki podają kwiaty Józefie Łopuch

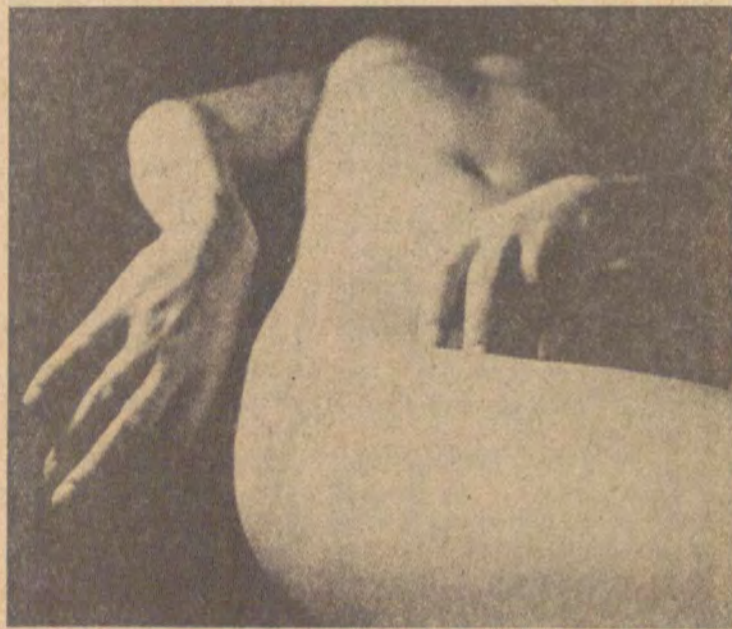


— heroinie polskiej estrady XXI wieku. Pięknym talentem zao-cocował nam tegoroczny koncert „Nowe Zmarszczki Polskiej Estrady”.
D. KRZYSIOWIECKI

SEX RETRO!

Nasz czytelnik, Ambroży B. odnalazł wśród starych szpargałów stary, bardzo śmieszny album sprzed stu laty. Album ten — nazwany nie wiadomo czemu „Wenus polska” — przedstawia fotografie, które reprodukowujemy, dając naszym Czytelnikom próbkę seksu z retro z drugiej połowy XX wieku.

Zabawne i niewinne te zdjęcia dają współczesnemu czytelnikowi wyobrażenie, czym był tzw. seks w pojęciu naszych przodków. Prawda, że śmieszne?



KARTKI Z DZIEJÓW ŁODZI

MEKKA ARTYSTÓW

Przed stu laty jednym z najpopularniejszych miejsc spotkań łódzkiej bohemy artystycznej był klub przy ul. Piotrkowskiej 96. Obskurny to był podobno lokal, ale miał swój wdzięk. Niestety nie zachowały się żadne fotografie z tamtych czasów i dziś możemy tylko zawiązywać relacjom pamiętnikarzy.

I tak w interesującym zbiorowym tomie wspomnień pt. „Sztuka i sztuce” czytamy: „zanim jeszcze łódzkie wodociągi rozpoczęły ozonowanie wody, wypicie kawy było tu niemożliwe. Ratowaliśmy się w ten sposób, że piliśmy wodę ze znakomych gruzińskich i bułgarskich źródeł, sprowadzaną tu w butelkach z napisem „Biały Łabędź” i „Pliska”.

Oto na jakie niewygody i kłopoty narażeni byli nasi artyści przed stu laty! Dziś, kiedy ta sama woda z gruzińskich źródeł dostępna jest każdemu po odkręceniu odpowiedniego kranu, nie możemy sobie nawet wyobrazić, ile heroizmu i samozaparcia wymagało życie artysty w tamtych latach.

Na parterze owego gmachu, gdzie mieścił się słynny klub łódzkiej bohemy połowy XX wieku, znajdował się inny lokal, zwany ówczesnie „stółką”, a będący charakterystycznym dla tamtych lat skrzyżowaniem bufetu dworcowego z końca XIX wieku, knajpy III kategorii oraz restauracji hotelu „Waldorff-Astoria”.

Sięgając znów do nieocenionego zbioru wspomnień „Sztuka i sztuce”, dowiadujemy się, że serwowano tu przysmak śniadaniowy pod nazwą serdelki (etymologia tego słowa nie jest znana), składające się z różowawej masy bezwonnej i bezsmakowej. Jadano tu również potrawę konserwową o nazwie „Przysmak śniadaniowy”, choć — pisze pamiętnikarz — potrawy tej używano raczej jako wieczornej zakąski, a przysmakiem w żadnym razie nazwać jej nie było można, jak dowiecinnie zauważa autor wspomnień.

Oba te lokale, znajdujące się w miejscu, gdzie dziś jest skwer przed stacją metra, były istną mekką artystów ówczesnej doby. Uważamy, że Towarzystwo Przyjaciół Ulicy Piotrkowskiej powinno zadbać o umieszczenie w tym rejonie stosownej tablicy pamiątkowej. Wszystkim nam przecież droga jest tradycja i historia Łodzi!

POWIĘKSZENIA

DZIWNY WYPADEK W METRZE

Na drugim poziomie stacji Łódzkiego metra przy zbiegu Tuwima i Piotrkowskiej na skutek brakorobstwa ekipy montażowej osunęła się marmurowa ściana peronu. Jak wiadomo drugi poziom stacji znajduje się 30 m pod ziemią, gdzie według opinii geologów jest lita skała.

Jakież jednak było zdumienie pasażerów oczekujących na pociąg, kiedy zza zwalów marmuru zaczęła się poćwalać woda, strugi różowego lakieru i wazelina. Jak dotąd tajemnica tego zjawiska jest nie rozszyfrowana.

Urząd Głównego Historyka Miasta zapowiada zbadanie archiwów, aby ustalić, jaka instytucja mieściła się przed stacją w miejscu obecnej stacji metra. Być może w ten sposób otrzymamy wyjaśnienie tajemniczego zjawiska.

BĘDĄ DOSTAWY

Popołudniowe wydanie „Dziennika Super-popularnego” informuje, że niebawem spodziewany jest transport papieru toaletowego „Extra-Superior” o zapachu „Chanel-Prince”. Według informacji gazety trzy transportowce „Jumbo-Jet” wiozą do Łodzi kilkadziesiąt ton tego poszukiwanego artykułu. Swoją drogą dziwne, że łodzianom nie wystarczą normalne dostawy tego artykułu z Wytwórni Papieru w Kluczach.

ODKRYCIE W PIWNICY

Elektryzującą wiadomością wyczytaliśmy w porannym wydaniu łódzkiej popołudniówki. Oto w piwnicach domu przy ul. Nowoczesnej 112 (przed modernizacją przebiegała tu ul. Kilińskiego) odkryto pięć beczek z cuchnącą mazią o zapachu fermentujących drożdży.

Naukowcy z Instytutu Historii Chemii Akademii Chemicznej w Łodzi przypuszczają, że jest to tzw. zacier używany przed stu laty do produkcji tzw. bimbru. Nazwą tą określano niegdyś pewien prymitywny gatunek napojów alkoholowych.

NOWE MUZEA

Od nowego roku powstaną we wszystkich piętnastu dzielnicach Łodzi — Muzea Historii Dzielnic. W ten sposób pięknie zaowocowała inicjatywa sprzed stu lat, kiedy to stworzono Muzeum Historii Łodzi. W dalszych ambitnych planach dyr. Jacka Szrama (jest to, jak wiadomo, wnuk założyciela Muzeum Łodzi, prof. Antoniego Szrama) przewiduje się stworzenie odpowiednich filii muzealnych dla poszczególnych ulic, a nawet większych bloków i dzielnic.

CZAS PODJĄC DECYZJE!

Od dłuższego już czasu prasa łódzka nawołuje, aby ulicę Śląską przemianować wreszcie na ulicę im. Konrada Frejdliha. Jak wiadomo zasłużony ten pisarz mieszkał właśnie przy ul. Śląskiej, o czym najstarsi mieszkańcy tej dzielnicy dobrze pamiętają. Nadal jednak władze miasta nie podjęły w tej sprawie żadnej decyzji.

BALAGAN W PUNKCIE

W punkcie wypożyczania helikopterów przy ul. Lotniczej nadal panuje spory balagan. Jak donosi łódzka prasa, zdarzają się dni, kiedy łodzianie mają do dyspozycji wyłącznie stare, zdezelowane modele sprzed kilkunastu lat. Brak natomiast zupełnie nowoczesnych, dwuosobowych helikopterów, tzw. narcezeńskich, wyposażonych w rozkładane fotele, barek i automatycznego pilota. To rzeczywiście skandal, zwłaszcza, że takie modele posiadają podobne placówki w województwach: pączęzańskim, zelowskim, zgierskim, szorkowskim i lutomińskim.

Najnowsze zdjęcie zespołu „Pro Contra”



UNIWERSALNE CENTRUM HANDLOWE

W ŁODZI

poleca:

- Samochody Mały Fiat 1500 w 25 kolorach z kompletem części zapasowych — dla młodych małżeństw i rencistów 80 proc. zniżki.
 - Oryginalne stare wina, rocznik 1976, marki „Wino”, „Zamkowe” oraz „Jagienka”.
 - Sardynki hodowlane ze stawów Gospodarstwa Rybnego „Olechówka”.
- oraz 10.148 innych artykułów. ● Dostawa do domu klienta w ciągu 3 godzin ● Za gotówkę i na raty ● Korzystajcie z naszych usług ● Zamówienia telefoniczne! ● Realizacja błyskawiczna!

rygancin Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch”. Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-102. Telefony 652-44, 217-98 oraz 293-00, wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamawia rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Ogłosy”. Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch”. Zam. 689, R-2, Nr indeksu 26762.

Szkoła i życie

SAME PYTANIA

Na kilku sprawach doskonale znają się w Polsce wszyscy: na sporcie, wychowaniu, piosenkach, ekonomice i paru jeszcze innych dziedzinach naszego życia. Dlatego chętnie wypowiadamy się na temat, choć należycie nie przemyślane do końca sądy, opinie w tych sprawach, często na piśmie.

Cień podobnych niewesołych refleksji ogarnął mnie po przeczytaniu filmu Ewy Ostrowskiej w ogólnonarodowym ujęciu „SZKOŁA I ŻYCIE”, zatytułowanego „Wędrując z tezką po piętrach”. Głos zadziorny, refleksyjny, ale odważny niedosyt. I mam ogromną ilość pytań! Podobno dał autorce prawo przelazienia się tylko po powierzchni problemów, stanąć w połowie drogi? Autorka niewątpliwie ma na celu dobro szkoły, dobro młodzieży, jej wychowanie i to intencje nie padło słowo proces wychowawczy, nasuwa mi się nieodparcie to pojęcie, natychmiast jednak w powiązaniu z procesem produkcyjnym.

Jasne, że nie można procesu wychowania zrównać z procesem produkcyjnym, szczególnie w sensie produktu finalnego, ale czy nie są to procesy równie ważne? Tymczasem obserwacja życia i kultury nauczyciela w ogóle informacja, że znacznie ważniejszy jest proces produkcji lokomotywy elektrycznej, lodówki czy guzika od procesu kształcenia osobowości i rozwijania wiedzy naszych latorków!

Każdaś! autorce prawo przelazienia się tylko po powierzchni problemów, stanąć w połowie drogi? Autorka niewątpliwie ma na celu dobro szkoły, dobro młodzieży, jej wychowanie i to intencje nie padło słowo proces wychowawczy, nasuwa mi się nieodparcie to pojęcie, natychmiast jednak w powiązaniu z procesem produkcyjnym.

Diatego w tak istotnej dziedzinie naszego życia, jaką jest oświata i wychowanie, gdzie się mamy na minimalizm — zdradzić i wręcz zabójczy w przyszłości, sankcjonować go niejako, jak to robi Ewa Ostrowska. Podstawa jest niewątpliwie baza materialna szkoły. Jaka ona jest? Jak się zmienia? Dlaczego szkoły ograniczone są w zakupach w „Cezasie” (nie wiele straciła chyba na aktualność stara instrukcja nazwy „centra” — zmartwych szkolnych), albo do tych samych (nie liczących, dodajmy) sklepów zaopatrujących małe i duże zakłady przemysłowe niemal hurtowo. Szkoła tam ze swoimi niewielkimi, ale często nietypowymi potrzebami, jest częścią nie ma zapatrzeniowców. A patrząc szerzej, zastanawiamy się, kto ma udoskonalać, budować, przerabiać, naprawiać, malować etc. etc.? Młodzież? Na pewno? I sama? Pod kierunkiem nauczyciela? Nie zatem rodzi się pytanie o wykształcenie i tydzień pracy nauczyciela, pamiętając o jego zasadniczej działalności. Jak to odbija się na jakości wypełniania jego głównych obowiązków?

Brak materiałów, surowców, półfabrykatów, wadów do naśladowania, urządzeń pomocy, a nawet gdyby były, to jak się nimi posługują? I skąd nauczyciel ma wziąć umiejętności rzemieślnicze, ba, właściwie wielu specjalności — rzemieślników? A co mają robić nauczyciele nie posiadający zdolności manualnych? Kto zatem pomoże w tym szkole i nauczycielowi? I tak stanęliśmy przed murem pryncypio- w. A w drobniaczki?

Szkoła nie może działać w oderwaniu od życia, od społeczeństwa. A która szkoła ma być rzeczywista, nie na papierze, sojusznik? Słyszałem o jednym: „Ema-Elester”, a jedna jaskółka nie czyni wiosny. Posypia się pewnie sprostowania, w wyniku małostkowe sprostowania, w wyniku których otrzymamy listę kilkudziesięciu zakładów, a przecież chodzi o klimat, nie odfajkowanie, lecz rzetelny współdziałanie kształtowaniu postawy młodego pokolenia.

A nasza zbiorowa obywatelska w wybrki i przelazienia się tylko po powierzchni problemów, stanąć w połowie drogi? Autorka niewątpliwie ma na celu dobro szkoły, dobro młodzieży, jej wychowanie i to intencje nie padło słowo proces wychowawczy, nasuwa mi się nieodparcie to pojęcie, natychmiast jednak w powiązaniu z procesem produkcyjnym.

Same pytania, ale czy nie są one potrzebne? Czy nie trzeba pytać, aby w ten sposób pomóc szkole w jej trudnym zadaniu, w wypracowaniu właściwego modelu kształtowania młodego pokolenia?

MIROSLAW WOJALSKI

FILM



Scenariusz: Hans Janowitz i Carl Mayer
Reżyseria: Robert Wiene
Zdjęcia: Willy Hamelster
Scenografia: Walter Röhrig, Walter Reimann i Herman Warn
Wykonawcy: Conrad Veidt (Cezar), Werner Krauss (Calligari), Lil Dagover (Jane Olesca narzeczona Franza), Friedrich Feher (Franz), Hans Heinz von Twardowski (Alan), przyjaciel Franza, Rudolf Lettinger (ojciec Jane), Rudolf Klein Rogge (przestępca)
Produkcja: „Decla-Bioscop”, 1919
Premiera: 27. II. 1920
Długość: 1703 m.

„Gabinet doktora Caligari” jest bez wątpienia najbardziej reprezentatywnym filmem kierunku ekspresjonistycznego, który rozwijał się w Niemczech w latach 1919—1924. Ekspresjonizm filmowy stanowił w dziejach kinematografii niemieckiej krótki, lecz pełen świetności epizod, kiedy to filmowcy niemieccy odebrali prymat artystyczny Amerykanom, aby w kilka lat później oddać go rewolucyjnej awangardzie radzieckiej.

Niemiecki ekspresjonizm filmowy był głęboko zakorzeniony w ówczesnym stanie psychiki zbiorowej narodu niemieckiego przeżywającego po przegranej wojnie i po nieudanej rewolucji socjalistycznej pogłębiający się kryzys norm i wartości moralnych oraz chaos gospodarczy, polityczny i społeczny. Niemiecki film tego okresu stał się zasztywniałym przekazem społecznej świadomości i podświadomości dawno nieudanej rewolucji socjalistycznej — kompleksem sadomasochistycznym, który odgrażał decydującą rolę w psychospołecznych mechanizmach zależności pomiędzy władzą faszystowską a nędzą niemieckich kłanów. W fabulach ekspresjonistycznych filmów często pojawiały się demoniczne tyrany wymuszający przy pomocy hipnozy uległość oddanej mu bez reszty jednostki, która w lunatycznym transie dokonywała potwornych zbrodni. Ten obsesyjnie powtarzany wzór fabularny miał symbolizować niemiecki instykt władzy i agresji

połączonej w nierozdzielny węzeł z poczuciem niższości i tęsknotą do ulgi. Pozornie wykluczające się siły psychiczne złożyły się na psychologiczny fundament faszystów, którego symboliczną projekcją stanowią niemiecki ekspresjonizm filmowy. „Gabinet doktora Caligari” otworzył filmowcy pochodzących z niemieckich makabrycznych fantomów, lunatycznych morderców, krwawych wampirów i gotyckich demonów. Temat tej upiornej opowieści o magicznym hipnotyzerze doktora Caligari i poszukiwaniu jego zbrodniczej woli somnambulliku Cezara już w progu rozwoju prądu sformułował podstawową obsesję ekspresjonizmu. W tym miejscu trzeba wyjaśnić, że pierwotne intencje scenarzystów filmu Hansa Janowitz i Carla Mayera uległy w realizacji zgodzeniu i wypaczeniu. W postaci doktora Caligari scenarzyści pragnęli uosobić pruski militarystyczny wampir, który w wojnie światowej, natomiast zahipnotyzowany Cezar miał być symbolem otumanionego narodu niemieckiego, bezwonnego narzędzia wysłanego na podbój Europy. Przed demaskatorską wymową takiego scenariusza wycofał się producent Erich Pommer i reżyser filmu Robert Wiene, traktując w filmie całą opowieść jako opowiadanie szaleńca zamkniętego w zakładzie psychiatrycznym, którego dyrektorem jest dobroduszny staruszek, doktor Caligari. Mimo tej zmiany film zachował swój oskarżycielski sens symboliczny, a nadanie całej historii cudzyłowu obłąkania podkreślała jej patologiczny wymiar.

Ekranowa wersja demonicznej opowieści o doktorze Caligari stwierdza scena w ogrodzie, gdzie jeden ze spacerujących mężczyzn, Franz opowiada drugiemu history, którą przeżył. Na jarmarku wędrowny hipnotyzer otwiera szkrzynię, w której leży somnambullik Cezar. Przepowiada on

GABINET doktora CALIGARI

przyjacielowi Franza śmierć następnego dnia. Przepowiednia spełnia się: przyjaciel zostaje zaszyty w szkrzynię. Następnego dnia narzeczona Franza zostaje porwana przez Cezara. Podjętym doktor Caligari ma alibi — całą noc spędził w budzie jarmarkowej, a w otwartej przeszni skrzyni leży jego medium Cezar. Jednakże Franz przekonany o zbrodnici Caligariego niespodziewanie demaskuje go, odkrywając, że w skrzyni leży kukła Cezara. Doktor Caligari uchyla i chroni się w szpitalu dla umysłowo chorych. Kiedy Franz dostaje się tam, okazuje się, że dyrektorem szpitala jest doktor Caligari. W jego gabinecie Franz znajduje pamiętnik Caligariego opisujący eksperymenty z hipnotyzowaniem Cezara przeprowadzone według starego podręcznika somnambulizmu. Tymczasem w okolicy znaleziono zwłoki Cezara. Na wieść o tym doktor Caligari dostaje ataku szału i zostaje uwieczony w kafelkach umiarkowanego szaleństwa. Akcja filmu powraca do ogrodu, w którym Franz znajduje się w otoczeniu bohaterów opowieści, pacjentów — podobnie jak on sam — szpitala psychiatrycznego, którego dyrektorem jest umiarkowany przyjaciel doktor Caligari. Z punktu widzenia logiki rozwoju artystycznego niemieckiego ekspresjonizmu jako filmowej poetyki „Gabinet doktora Caligari” był zjawiskiem zaskakującym: znalazł się w nim bowiem w stanie maksymalnego skupienia te wszystkie cechy formalne, które później miały przesądzić o swoistości i oryginalności całego prądu. Forma tego filmu była tak ekstremalna, że od jego tytułu utworzono termin „caligaryzm” na oznaczenie swobodnego zespołu cech stylistycznych, które tutaj doszły do głosu z wyjątkową siłą.

Wartości artystyczne „Gabinetu doktora Caligari” zdawały się całkowicie zaprzeczać dotychczasowy kanonem specyfiki estetycznej filmu i w oczach liczących komentatorów przesunąć go raczej w kierunku plastyki, aniżeli choćby najszerzej polowanej formuły kina. Aby wyjaśnić ten fenomen należy sięgnąć do genety warstwowości filmu. „Gabinet doktora Caligari” powstał całkowicie w atelier w celu uzyskania możliwie najbardziej ekspresyjnej wizji rzeczywistości, czyli takiej wizji, która nie odzwierciedla obiektywnej świata, lecz ukazuje go w formie zniekształconej przez ludzką psychikę. W tym celu akcja filmu rozgrywała się w specjalnie zaprojektowanej scenografii obejmującej nie tylko wnętrza mieszkaniowe, ale również ulice miasteczka.

Autorzy scenografii, Walter Röhrig, Walter Reimann i Hermann Warn, członkowie ekspresjonistycznej grupy „Sturm” swoim kompozycjami plastycznymi całkowicie zdominowali film, podporządkowując swojej koncepcji scenograficznej reżyserię, zdjęcia i grę aktorów. Podstawową zasadę sztuki ekspresjonistycznej polegającą na skrajnej subiektywizacji, a tym samym kreacji rzeczywistości zrealizowali dzięki wypełnieniu ekranu dekoracjami, które odznaczały się dramatycznym światłocieniem, ostrymi kontrastami czerni i biele, zakłóceniem porządku perspektywicznego na rzecz ostrych, zmasowanych linii i zachwianych proporcji kształtów malowanych na płaskich płótnach. Dzięki tym zabiegom z ekranu wyłaniała się wizja mroczna i halucynacyjna, pełna tajemniczych labiryntów, schodów i zaułków, gdzie na każdym kroku czaiła się groza śmierci. Reżyser filmu Robert Wiene narzeczona filmowa podporządkował dokładnej ekspozycji tej scenarii. Stąd brak w tym filmie szczególnych efektów montażowych, czy zwracającej uwagę widza pracy kamery. Ograniczona inwencja filmowa złożyła się na efekt z pogranicza plastyki i teatru. Wrażenie to pogłębiała stylizowana gra aktorów, szczególnie Werner Krauss w roli Calligariego i Conrada Veidta w roli Franza, którzy dzięki ekspresyjnej mimice, wyrazem gestów i specjalnemu modelowaniu całej sylwetki starali się dostroić do plastycznych reguł scenograficznej wizji.

Ekspresjonizm filmowy widziany poprzez „caligaryzm” stanowi ważny krok na drodze poszukiwania możliwości wyrazowych kina. W tej poetyce poszukiwania skupity się na wartościach wizualnych, emocjonalnych i semantycznych obrazu filmowego. Kłującą fantasmagoryjność świata przekształcają obiektywne zjawiska i rzeczywistość na rzecz wizji głęboko subiektywnej i indywidualnej, była celem doświadczeniem estetycznym młodej sztuki filmowej. Doświadczenie to stworzyło osobny i oryginalny styl filmowego obrazu, znacząco różniący się od niemieckiego ekspresjonizmu i niezależny od jego ponurej ideologii.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

KSIĄŻKA

ZBIGNIEW DOMINIAK

„OGRÓD NASZ UPADŁY”

Henryk Jachimowski (ur. 1938 r. w Rożnicy pod Jędrzejowem) jest autorem tomu opowiadań (*Jaszczury*, 1966), powieści (*Skaza*, 1969) oraz trzech tomików poezji (*Idę po dnie rzeki*, 1965, *Pieśni wyśpiewane*, 1970, *Mity pouracające*, 1975). Należy do tzw. „pokolenia 1960”, „pokolenia układowych”, jak z racji hermetyczności i postulowanego uniformizmu określił je — z pewnej perspektywy — Marian Piłot, również tego pokolenia przedstawiciel. Stanowiło ono pierwszą generację pisarzy całkowicie wychowanych i wykształconych po wojnie, w większości o rodowodach chłopskich i robotniczych. Poszukując swojego miejsca w kulturze, podlegającej gwałtownym przeobrażeniom, nie miało śmiałości i odwagi ostrego widzenia rzeczywistości. Ogładało świat przez dyman zasłonę „małego realizmu” lub najróżnorodniejszych „mitologizmów”.

W tym kontekście trzeba przyznać, że *Mity pouracające* Jachimowskiego wyróżniają się tonem indywidualnym i znaczną dojrzałością. Odwołując się do problematyki mitu, Jachimowski zajmuje krytyczne stanowisko wobec postaw klasycyzujących, pozostających w złudzeniu, że w świecie i w człowieku nie zaszły żadne zmiany, co pozwala na reaktywowa-

nie dawnych norm poznawczych i interpretowanie sytuacji, w jakiej znajduje się człowiek współczesny, poprzez formy zapożyczone z przeszłości.

Zacznijmy od spraw formalnych. Przy lekturze tego tomiku daje się dostrzec, że autor przeszedł przez szkołę lingwistyczną, ale raczej Karłowicza niż Białoszewskiego. Nie spotyka się w tej poezji zabiegów rozbijania słów i gry ich cząstkami. Charakterystyczna jest natomiast operacja polegająca na tworzeniu „węzła składniowego” przez zacho- dzenie na siebie części dwu wypowiedzi:

w czasie pisanja przez nas wierszy wiezy naszych wyrastających na kamieniu
kamień
zaimonyj ROZY najlepszej
zaimonowanej w kiozet
poezja potrzebuje perspektywy

Zabieg ten nie służy Jachimowskiemu do popisowania się sprawnością warsztatową, lecz wiąże się bezpośrednio z wyznawaną przez niego filozofią. Przez taki zapis uzyskuje poeta możliwość nałożenia na siebie, zażebienia dwu planów znaczeniowych i — w efekcie — powstania „węzła semantycznego”, umożliwiającego korespondowanie ze sobą różnych zjawisk. W takich wierszach, jak: *poezja potrzebuje perspektywy, sąsiedztwo nadziei poezji i śmierci, trudno uwierzyć, przygotuj się raczej,*

możliwym się tego spodziewać, zamienione na most, dochodzi do utożsamienia elementów urbanistycznych (miasto) z elementami biologicznymi (kobieta). Dotykamy tutaj sprawy bardzo istotnej w poezji Jachimowskiego. Umieszcza on miasto w sferze — gdyby posłużyć się terminologią Eliadego — sacrum. Nie zapominając o większym rodowodzie autora oraz np. fascynacjach krakowskiej awangardy, można się zgodzić z takim punktem widzenia tym bardziej, że mit miast, podobnie jak mit kobiety, potraktowany jest w tej poezji w ruchu zstępującym, w ruchu o charakterze upadku:

(...) Kiedyś
słowa były właśnie prementujące miasto
i wschody słońca jak
trudno to teraz zrozumieć
dawnych poetów
traktujących maszynę jak
wielkie starzejące się przy nich matki
rozkładające się w ich rękach bagaż
żony i dzieci ten
zapowiadał już był
wtedy miast wlotu upadek nasz w ten
przenikający siebie smród ciała i rzeczy
trudnych do siebie filozofowania
możliwym się tego spodziewać

W dwóch cyklach lirycznych i erotyków sięga Jachimowski do dawnych wzorców miłości (odwołania do sonetów Petrarki, ballad Mickiewicza), aby ukazać ich wymiar historyczny. W wierszu *nasza miłość* — nie najbardziej może doskonałym — wyraża swoje przekonania w ten sposób:

miłość wymaga higieny
dawnej nie wymagała
miłość wymaga higieny (opis łódki)
dodał nam skrzydła
Łdki
a skąd ja mied
mieć jak Ikar
upaść
miłość powinna wznosić

Diagnoza wystawiona współczesnej obyczajowości, choć przesycona ironią i żartem, jest pesymistyczna. Tu stwierdzenie, że *nie ma wyjścia / jest zającie / dobrze / jeżeli tylko w ciążę nie zamyka ostatecznie perspektywy. Poemat pobyt na usi oraz rozbiernie (się) ukazują dewaluowanie się mitu „sielskiej wsi” i etosu walców. Nie ma powrotu w mit — mówi Jachimowski — w jego pierwotnym kształcie. Mity z nieba sacrum powracają do nas przez piekło profanum. Pamięć o idealnym wzorcu, pomimo rozmiłania się go z rzeczywistością, zapewnia wszakże ciągłość kultury. Stąd być może nadzieja poety, jaka daje się odczytać w zakończeniu wiersza:*

tyś łąka już nie kwitniesz
wypasas jednak stada
tyś jabłoń nie owocna
lecz cień twój jeszcze nas orządza
tyś źródło już niepełne
lecz tryskasz dla nas jeszcze sokiem
tyś ogród nasz rozkwitły wyrznięty
naszym nożem
tyś ogród nasz upadły
lecz wydasz jeszcze wiersz i sperme

Wiersz został opatrzony tytułem *opis przeżytej miłości*, który oczywiście należy rozumieć w ten sposób, iż jest to skrócona postać tytułu, którego pełne brzmienie powinno być następujące: „opis przeżytej miłości”; co wydaje się być o tyle ważne, że pojęcie to — miłość — zawsze stanowiło istotną składową kultury.

Henryk Jachimowski, *Mity pouracające*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1975

PARTNERSTWO

PAMOTEX. Największe, do prawie 8-tygodniowe Zakłady Przemysłu Bawełnianego w Pablicanach. Spśród fabryk, jakie znam, ta zdecydowanie wyróżnia się estetycznym wyglądem, czystością, schludnością sianowisk pracy. Pamo-kowcy uporządkowali teren wokół fabryki, zasadzili kwiaty wyhodowane we własnej cieplarni, troszczą się o ład i porządek przy warzatkach. Nie zawsze tu tak było, zmiany dokonały się dopiero przed dwoma laty.

Młodzi robotnicy, z którymi rozmawiałem w fabryce twierdzili, że bez owej dbałości o estetykę fabrycznych ład nieomniel- jest aktywne uczestnictwo w kulturze.

— Czy tego, kto nie dba o swój warsztat, kto obojętnie przechodzi obok bałaganu i brudu można zainteresować spektaklami teatralnymi, wystawami plastycznymi, operą? Jest w tych słowach głęboki sens przemiany, jaka dokonała się w ostatnich czasach nie tylko w wyposażeniu technicznym zakładu, ale także świadomości ludzi. Wyższa kultura pracy musi iść w parze z większymi i głębszymi zainteresowaniami kulturalnymi i intelektualnymi i artystycznymi. W Pamo-tecie postarano się zaspokoić owe wyższe potrzeby kulturalne pracowników. Przed rokiem zakład ten włączył się do akcji sojuszu świata pracy z kulturą i sztuką, podpisał kilka umów o współpracy zalgami i różnymi instytucjami artystycznymi.

Deklaracje o współpracy ze stowarzyszeniami twórczymi, instytucjami kulturalnymi podpisał wiele łódzkich fabryk. Z tej okazji odbyło się wiele rozmów, uroczystych spotkań, konsultacji. Dokumenty w większości przypadków nie przeważały konkretnych form, w jakich przebiegała realizacja deklaracji. W niektórych fabrykach ów interesujący kierunek współpracy obu partnerów był dla administracji wygodnym rozwiązaniem. „Jeśli ani oni, ani my nie wiemy jak realizować wspólne porozumienia, to mamy wymienić okazję, aby nie nie robić”.

W najlepszym wypadku administracja zakładów sędziwała realizację umów na zakładowe domy kultury i kluby, nie pamiętając jednak o tym, że placówki te nigdy nie były i nie są równorzędnymi partnerami ani dla administracji fabryki, ani też dla takich instytucji kulturalnych jak Filharmonia, Teatr Wielki czy Biuro Wystaw Artystycznych. W ten sposób zabrano w wielu łódzkich fabrykach istotny sens sojuszu świata pracy z kulturą i sztuką. Obarczając administrację odpowiedzialnością za prowadzenie tej akcji na terenie fabryk sędziowano w ten sposób związać sprawy produkcji i kultury. Przyznając, że jest to posunięcie jedynie organizacyjne, ale przecież dopiero konkretne działania może sprawdzić słuszność tych założeń.

W PAMOTEXIE kierownictwo administracyjne nie zrezygnowało z szansy. Na czele grupy ludzi odpowiedzialnych za upowszechnienie kultury w fabryce stanął z-ca naczelnego dyrektora do spraw ekonomicznych Józef Krzeminski. Na efekty jego działalności nie trzeba było długo czekać. Jeszcze przed kilkoma miesiącami zakładowy dom kultury pracował w kilku zaledwie pokojach, sasiadując z biurami administracji, przychodni zakładowej. Dziś biura otrzymały nowe komplementy, przychodnia wyodrębniła się w najbliższym czasie. Dom kultury zaś ma nareszcie odpowiednie warunki do prowadzenia działalności na miarę zakładu. Sprawa wydawałaby się blaha, dotyczy jedynie przemian niektórych działów w obrębie zakładu. Działacze kultury wiedzą jednak o tym, jak trudno przeprowadzić podobną rewindykację w innych fabrykach.

Pamo-kowcy przed przystąpieniem do akcji sojuszu świata pracy z kulturą rozdzielił w swojej fabryce opracowane przez socjologa artysty. Pracownicy odpowiedzieli na nich na pytania dotyczące sposobów i form wypoczynku, zainteresowań pozazawodowych, pasji i uzdolnień. Dopiero na podstawie tych ankiet zdecydowano się na podjęcie współpracy z Teatrem Wielkim i Ludowym Instytutem Muzycznym, Wojewódzkim Zarządem Kin, Łódzkimi muzeami, Biurem Wystaw Artystycznych. Bo odpowiedzi, jakie uzyskali poprzez ankietę wskazywały właśnie na tego rodzaju zainteresowania, na takie potrzeby kulturalne pracowników Pamo-teku.

Dyrektor Józef Krzeminski jest zwolennikiem nawiązywania oficjalnej współpracy nawet z taką instytucją artystyczną, która znajduje się w kręgu zainteresowań nielicznej garstki pracowników.

— Chcemy włączyć do naszej akcji wszystkich pracowników, tych, którzy interesują się malstwem i tych, których pasjonuje muzyka młodzieżowa. Byłoby to dla nich nieobojętne, zaangażowanych w sprawy kultury.

Dyrektor Józef Krzeminski najwyższą ocenę dotychczasowej współpracy z Teatrem Wielkim. W ostatnim czasie wielu pracowników Pamo-teku odwiedziło kulisy teatru, uczestniczyło w próbach generalnych. Zdaniem dyrektora, dla wielu była to dobra lekcja szacunku dla trudu i wysiłku realizatorów spektaklu operowego.

W krótkim czasie powstał w zakładowym domu kultury klub miłośników muzyki poważnej, którym opiekują się Ludowy Instytut Muzyczny.

To tylko jeden przykład sposobu realizacji założeń akcji sojuszu. A Pamo-tex ma ambicje stania się jednym z centrów kultury w Pablicanach. Stać też swoje imprezy, w tym także imprezy organizowane w ramach sojuszu, adresuje do wszystkich mieszkańców Pablican Zakładowa biblioteka licząca ponad 30 tysięcy woluminów również została udostępniona mieszkańcom. Na prawie każdej pablicanckiej imprezie występują zakładowe zespoły baletowy, estradowy, chór męski, orkiestra dęta itd. W Pamo-tecie odgrywa rolę do poglądu, który pokazuje jeszcze tu i ówdzie, że „na nasze pieniądze organizujemy tylko dla nas”.

Wszystcy moi rozmówcy z Pamo-teku zgodnie podkreślali, że włączenie się do akcji sojuszuowej zdyktowało poczynniam miejscowych działaczy kulturalnych. Do przesłodzić już należy ten rodzajowy widoczek, kiedy to rozszerzony, spocyni organizator życia kulturalnego w fabryce, na kolanach błagał pracowników zakładu o przyświe do domu kultury na prelekcje.

— Bo, wiecie, że mna, sprzączka i prelegentem, to będą tylko trzy osoby na widowni.

Wydaje mi się, że akcja — choć tego tak nie powinno się nazywać — została ogłoszona w odpowiednim momencie. Kiedy to działaczom kulturalnym zaczęło brakować nowych koncepcji, interesujących pomysłów. Dla obecnych działaczy sojuszu świata pracy z kulturą i sztuką jest nowym bodźcem, zachętą i szansą.

Pamo-tex tej szansy nie zmarnował.

MIROSLAW KUŹNIAK

SPRAWA PATRYCJI HEARST

Dalszy ciąg ze str. 1

Po przeprowadzeniu rewizji, w czasie której znaleziono kilka pistoletów i magazynków amunicji, obie kobiety sprowadzono na dół, do samochodu policyjnego. Wszystko odbyło się bardzo spokojnie. Tak dobiegła końca sprawa najdziwniejszego porwania w historii USA, porwania, którego ofiara przystąpiła następnie do swoich porwaczy, z bronią w ręku brała udział w ich akcjach. Tak zakończyło się wreszcie trwające ponad 19 miesięcy, największe polowanie w historii Stanów, w którym Patty i członkowie SLA — „Wyzwoleńczej Armii Symbiozy” poszukiwało — jak pisał tygodnik „Newsweek” — „ponad 3000 agentów FBI oraz setki przedstawicieli lokalnej policji od Alaski po Nowy Jork, a nawet po Hongkong”.

Na tym jednakże nie zakończyła się sprawa Patrycji Hearst, córki milionera i magnata prasowego Randolpha Hearsta, która trafiła na listę dziesięciu najbardziej poszukiwanych przestępców w USA. Wciąż bowiem niewyjaśniona pozostaje zagadka, co skłoniło Patrycję, dziewczynę z „high-society”, wesołą i apolityczną do przyswojenia sobie ideologii SLA, wymierzonej przeciw jej własnej klasie społecznej?

Niemal w przeddzień drugiej rocznicy jej porwania, przed sądem okręgowym w San Francisco rozpoczął się proces Patrycji Hearst. Akt oskarżenia zarzuca jej popełnienie 18 przestępstw, m. in. udział w napadzie na bank Hibernia 15 kwietnia 1974 roku, próbie zabójstwa personelu sklepu w Los Angeles podczas kradzieży towarów oraz uprowadzenie kilku osób podczas ucieczki przed pościgiem policji i FBI.

Usiłowania obrony, którą kieruje najwybitniejszy w USA adwokat od spraw kryminalnych, Lee Bailey, idą w kierunku uznania Patrycji za niewinną, gdyż przez cały czas działała pod przymusem ze strony porwaczy. Ona sama bynajmniej nie ułatwia zadania swemu obrońcy przyznając się do dobrowolnego udziału w wielu z zarzucanych jej czynów. Gdyby więc mimo wszystko uznano ją za niewinną, byłoby to chyba pierwszy wypadek w historii kryminalistyki, kiedy — jak pisze tygodnik „Time” — „ława przysięgłych została przekonana, że oskarżony nie miał przestępczych zamiarów, a wszystko co się wydarzyło nastąpiło w wyniku „prania mózgu”.

Zdarzyło się to 4 lutego 1974 roku. Był wieczór. Peter Benenson 31-letni asystent uniwersytetu w Berkeley pod San Francisco zaparkował swój samochód przed domem i zaczął wyjmować z niego torby z zakupami. Nagle poczuł silne uderzenie w kark. Nim zdolał się zorientować, dwóch Murzynów przewróciło go na ziemię, związało i zakneblowało usta. Murzyni związaali mu oczy i wepchnęli do swego samochodu. Zanim to jeszcze nastąpiło, Benenson zdołał zauważyć, że obu napastnikom towarzyszyła młoda kobieta. Gdy tylko ofiara znalazła się wewnątrz samochodu, kierowca gwałtownie ruszył, odjechał kilkadziesiąt metrów i stanął.

Dwaj napastnicy i dziewczyna udali się do stojącej opodal eleganckiej willi, w której od roku zamieszkiwała młoda, jeszcze nie poślubiona para.

On, Steven Weed, miał 28 lat i ukończył właśnie ostatni semestr na wydziale filozoficznym Uniwersytetu Kalifornijskiego. Ona to Patrycja Campbell Hearst, niespełna 20-letnia, studentka historii sztuki na ten samej uczelni. Poznali się przed trzema laty, kiedy „Patty” była jeszcze przed maturą, a Weed dawał lekcje matematyki w gimnazjum, do którego uczęszczała. Zdecydowali się wówczas, że wkrótce się pobiorą, ale na spełnienie tego postanowienia musieli jeszcze trochę poczekać.

Jej ojciec, Randolph A. Hearst — młodszy syn znanego „króla prasy” Williama Randolpha Hearsta — jest wydawcą i naczelnym redaktorem wielkiego dziennika „San Francisco Examiner”. Z kolei wuj Patty, William Randolph Jr., najstarszy syn zmarłego przed laty magnata prasowego zarządza już dziś niezbyt dobrze zachowaną pozostałością wielkiego imperium prasowego, które na początku bieżącego stulecia przyniosło jej dziadkowi legendarne bogactwo.

19 grudnia 1973 roku Randolph Hearst i jego żona Catherine oficjalnie ogłosili zaręczyny „Patty”, jednej z pięciu swych córek, ze Stevenem Weedem. Wesele miało się odbyć w lutym 1974 r.

Powróćmy jednakże do wydarzeń owego pamiętnego lutowego wieczora. Dochodziła właśnie godzina 21.20, gdy u drzwi domu, w którym mieszkał Steve z Patrycją, rozległ się nagły dźwięk dzwonka. Gdy Weed otworzył drzwi, ujrzał w nich młodą białą kobietę, która prosiła o pomoc. Z tego, co mówiła wynikało, że uległa wypadkowi i znajduje się pod wpływem szoku. Gdy Steven Weed stał niedzedydowany w drzwiach nie bardzo wiedząc co robić, w otwartych drzwiach pojawiło się nagłe dwóch uzbrojonych Murzynów, którzy rzucili się na niego.

— Trwało to tylko kilka sekund — zeznał później policji Weed — gdy leżałem już w korytarzu z twarzą zwróconą ku ziemi. Kopali mnie po twarzy, aż straciłem przytomność.

Murzyni, zostawiając przy leżącym kobiecie, która pierwsza zadzwoniła do drzwi, pobiegli do wnętrza mieszkania. Po chwili wywlekli na ulicę Patrycję Hearst. Patty owinięta była jedynie w płaszcz kąpielowy i miała zawiązane oczy.

W kilka minut dziewczyna związana i zakneblowana znalazła się w bagażniku samochodu Petera Benensona. Porywacze oddali kilka strzałów w powietrze, po czym szybko odjechali z miejsca przestępstwa. Tuż za nimi odjechał także samochód, w którym znajdował się Peter Benenson. Po przejechaniu kilkuset metrów samochody nagle zatrzymały się, po czym porywacze zamienili ofiary miejscami, zostawiając związanego Benensona

nie słyszano o SLA. Dwaj Murzyni schwyłani nieco później i aresztowani pod zarzutem dokonania tego morderstwa, zeznali, że są członkami ruchu wolnościowego pod nazwą „Wyzwoleńcza Armia Symbiozy”. Celem jej, według nich, miało być jednocześnie się ludzi wszystkich ras, stanów i wieku w organizację, w której zgodnie ze znaczeniem słowa symbioza mieliby wspólnie żyć w głębokiej, pełnej miłości harmonii i partnerstwie dla dobra wspólnych interesów. Amerykańska opinia publiczna prawie nie wiedziała o SLA przed porwaniem Patrycji Hearst. Teraz jednak „Wyzwoleńcza Armia Symbiozy” była praktycznie na ustach wszystkich obywateli.

radiowej w Berkeley. Porywacze domagali się, by rodzina Hearstów dostarczyła żywności za 70 dolarów każdej żyjącej w nędzy osobie na terenie stanu Kalifornia. Na spełnienie tego żądania Hearstowie musieliby przeznaczyć ok. 400 mln dolarów tj. więcej niż wynosił cały majątek ich rodziny. Na taśmie zarejestrowany był także głos Patrycji. Zachowywała się jak wystraszona mała dziewczynka, gdy biagalnie zwracała się do rodziców: „Mamo, tato, ze mną jest wszystko w porządku. Ci ludzie nie są bynajmniej kupą wariatów. Są gotowi umrzeć za swoją sprawę. Mogę mieć tylko nadzieję, że spełnicie to, co mam powiedzieć”.

Ojciec Patty natychmiast wyraził gotowość udzielenia pomocy biednym, odrzucił jednak jej wysokość jako warunek niemożliwy do spełnienia ze względu na finansowych. Zobowiązał się natomiast przeznaczyć na tę akcję dwa miliony dolarów, z czego 1,5 miliona miały stanowić jego własne pieniądze, zaś pozostałe pół miliona miało pochodzić z budżetu Fundacji Hearstów.

Niemal równolegle z rodziną Hearstów do akcji przystąpiło sześć lewicowych ugrupowań mających spełniać rolę pośredników między nią a SLA. Kierownictwo komitetu tych organizacji objął ciemnoskóry duchowny Cecil Williams, pastor kościoła Glide Memorial Church w San Francisco. Celem uniknięcia nieporozumień pastor Williams złożył oświadczenie, w którym powiedział między innymi:

„Poteplamy każdą formę terronu czy to ze strony SLA, czy z kręgów establishmentu. Chodzi nam tylko o uniknięcie przelewu krwi, przy czym mamy to na uwadze w odniesieniu zarówno do Patrycji Hearst jak i członków SLA. Dlatego też jesteśmy gotowi wyznaczyć spośród szeregów naszych organizacji przedstawicieli, którzy będą mogli pełnić rolę łączników między SLA a rodziną Hearstów, przez co może zostać stworzona atmosfera, która nie dopuści do niepotrzebnego rozlewu krwi”.

14 lutego 1974 r. na konferencji prasowej w Waszyngtonie minister sprawiedliwości, William B. Saxbe wypowiedział się przeciwko koncesjom dla porywaczy, czynionym ze strony rodziny Hearstów, dając jednocześnie do zrozumienia że FBI w przypadku narażenia na ich ślad nie cofnie się przed użyciem przemocy, o ile będzie tego wymagała sytuacja. Wypowiedź ministra wywołała gwałtowny protest ze strony Randolpha Hearsta, który określił ją jako „wrecz nieodpowiedzialną”, dodając przy tym: „Mr Saxbe nie jest ojcem Patrycji. Ja natomiast zrobię wszystko, co tylko jest możliwe, by wyciągnąć ją z tej sytuacji”.

16 lutego 1974 r. nadeszła trzecia wiadomość od porywaczy, zarejestrowana na taśmie magnetofonowej. Nieznany mężczyzna przedstawiał się jako „feldmarszałek Cinque”, przywódca SLA. Stwierdził, że cały czas zabnie obserwuje stanowisko i poczynania rodziny Hearstów i że od nich właśnie zależy los Patrycji. Nagranie to potwierdziło przypuszczenia władz kalifornijskich, że owym człowiekiem jest 30-letni Murzyn, zbiegły więzień o nazwisku Donald David de Freeze, używający przydomka „Cinque” (od imienia XIX-wiecznego przywódcy powstania niewolników).

Na taśmie utrwalony był również głos Patty: — Chciałabym podkreślić, że żyję i czuję się dobrze. Mówiąc o swoich porywaczach stwierdziła, że ci „nie próbują bynajmniej stawiać nierozsądnych żądań. Nigdy nie myślałem, że macie wyżyć cały stan”. Dodała przy tym, że ma nadzieję, iż „opuszczyć to miejsce do następnego wtorku” (19.2.1974 r.). We wtorek bowiem miała się rozpocząć, zgodnie z propozycjami porywaczy, akcja rozdzielania produktów żywnościowych wśród ubogich mieszkańców Kalifornii.

Akcja, którą nazwano „People in Need” (Ludzie w nędzy) rozpoczęła się nieco później. Najpierw trzeba było utworzyć specjalną organizację, która zajęłaby się rozdaniem żywności. Musiała ona zostać uznana przez władze stanowe za instytucję użyteczności publicznej, a zatem wolną od podatków. Środki finansowe przekazane przez Randolpha Hearsta na tę kampanię, zgodnie z jego oświadczeniem nie miały być traktowane jako okup, lecz jako znak dobrej woli wobec SLA, która ze swej strony zrewanżuje się zwolnieniem jego córki.

W momencie, gdy akcja się rozpoczęła, „Cinque” zażądał, by Hearstowie podwyższyli swój wkład finansowy do 6 mln dolarów. W odpowiedzi fundacja zadeklarowała gotowość spełnienia tego żądania, o ile porywacze zagwarantują, iż wówczas zwolnią Patrycję. Dodatkowe 4 miliony miały zostać zdeponowane w banku w San Francisco. Jednakże żadne gwarancje nie zostały udzielone. W rezultacie rozdano ok. 150.000 paczek. Dawano je każdemu, kto się zgłosił i uznawał się za biednego. Spowodowało to szereg nadużyć, poza tym znaczna część mieszkańców nie chciała przyjmować paczek twierdząc, że uwielbiliby to ich godności, jako że ofiarowywane były za cenę terronu. Akcji towarzyszyła atmosfera przemocy i strachu.

Opracował: A. E.

PORWANIE



Foto: Archiwum

na w jego własnym wozie na środku ulicy. Drugi z wozów pomknął tymczasem w nieznanym kierunku.

Zaalarmowana porwaniami policja sądziła początkowo, że mają do czynienia ze zwykłą, dość często spotykaną próbą uprowadzenia osoby zamężnej, celem wymuszenia okupu. Jednak po upływie trzech dni, okazało się, że tym razem chodzi o coś zupełnie innego. Do rozgłoski radiowej w Berkeley nadszedł anonimowy list, z którego treści wynikało, że dziewczynie nie się nie stało i znajduje się w niewoli „Wyzwoleńczej Armii Symbiozy” — SLA. Gdyby jednak władze próbowały siłą uwolnić Patrycję Hearst, bądź zabiła lub raniła któregoś z członków SLA, wówczas dziewczyna zginie.

Porywacze nie żądali okupu, o co więc im chodziło? Wprawdzie nazwa organizacji już raz się pojawiła, w listopadzie 1973, kiedy zamordowany został przez nieznanego osobnika kurator okręgu szkolnego w Oakland, Marcus Foster, ale od tamtego czasu nie

7 lutego 1974 r., policja otrzymała do rozwiązania dość skomplikowaną zagadkę. Do nadesianego listu dołączono niewypełniony czek z książeczki czekowej ojca Patrycji, Randolpha Hearsta. W następnym liście znaleziono potowę prawa jazdy Patty Hearst. Jak porywacze weszli w posiadanie tych dokumentów, skoro jak twierdzili świadkowie, dziewczynę uprowadzono niemal naga.

Podjęto próby przemówienia porywaczom do rozsądku, obiecując, że w wypadku powrotu Patrycji całej i zdrowej nie będzie się wższczywać przeciwko nim żadnych kroków sądowych. W tym też duchu wypowiedział się 10 lutego 1974 r. ojciec uprowadzonej, Randolph Hearst w 5-stronowym liście otwartym skierowanym do porywaczy, podobnie jak i narzeczony Patty, Steven Weed w audycji radiowej 9 lutego.

Kolejna wiadomość od porywaczy nadeszła 12 lutego. Była to taśma magnetofonowa z nagraniem żądań porywaczy. Podobnie jak poprzednio przesyłka nadeszła na adres rozgłoski

ŚWIAT POLITYKA WYDARZENIA KOMENTARZE

U PRZYJACIÓŁ BULGARIA

W Polsce kultura bułgarska znana jest dość dobrze. To efekt rozszerzającej się z każdym rokiem współpracy między naszymi krajami. Na polskich scenach operowych występują światowej sławy bułgarscy śpiewacy, czytelnicy znajdują w księgarniach coraz więcej książek bułgarskich autorów, popularne są w naszym kraju bułgarskie zespoły muzyczne i folklorystyczne. Miliony polskich turystów ma możliwość w samej Bułgarii zapoznać się z bogactwami kultury tego kraju. Wzbudza w nas podziw liczne sukcesy twórców i artystów tego nie ogromnego przecież, bo niespełna 9-milionowego kraju.

Tajemnica tych sukcesów, poczesne miejsce w kulturze światowej, nie jest trudne do rozszyfrowania. Bogate tradycje kulturowe i warunki, jakie stworzyło w ostatnim 30-leciu socjalistyczne państwo, traktowanie kultury jako dobra powszechnego — oto podstawowe przyczyny składające się na współczesną rzeczywistość kulturalną Bułgarii. Partia komunistyczna i państwo nadały kulturze wysoką rangę w życiu kraju. Stworzono warunki do wyzwolenia inicjatyw społecznych. Angażuje się duże środki na rozwój życia kulturalnego.

Baza wysokiego poziomu bułgarskiej kultury artystycznej jest powszechność kultury masowej, o czym najbardziej przekonująco świadczą liczby. Amatorski ruch artystyczny zrzesza ok. 330 tys. osób, które uprawiają różne formy działalności w ponad 12 tys. zespołów. Wśród nich znajduje się około 5,5 tys. chórów, ponad 1600 zespołów muzyczno-tanecznych, a nawet 2 opery i 17 operetek amatorskich.

Jak wynika ze statystyk ONZ Ludowa Republika Bułgarii należy do krajów z najsilnie rozwiniętym czytelnictwem. Jest tak dlatego m. in., że w Bułgarii bogate i wieloletnie tradycje posiadają czytelnicy ludowe. Jest ich, głównie na wsi i w małych miasteczkach, około 4,5 tys. stale odwiedzanych przez ponad 1 milion 100 tys. czytelników. Niezależnie od czytelników ludowych sieć bibliotek publicznych obejmuje 11 tys. placówek. W Bułgarii wydaje się rocznie około 4 tys. tytułów książek. Powszechna są: radio i telewizja, ukazują się setki tytułów gazet.

Bogata jest infrastruktura kulturalna kraju. W LRB działa ponad 50 teatrów zawodowych (w tym 7 scen operowych i 2 operetkowe), 10 państwowych orkiestr symfonicznych, ok. 150 muzeów, z których wiele posiada zbiory unikalne w skali światowej. W każdym większym mieście, a nawet w niektórych wsiach znajdują się galerie sztuki.

Jak wynika z przedzjazdowych dyskusji i wytycznych na zjazd, niewątpliwie na XI Zjeździe BPK (który rozpoczął obrady 29 marca) wśród społeczno-gospodarczej problematyki wiele uwagi zostanie poświęcone dalszemu rozwojowi kultury i jej upowszechnieniu.



Wiele zastużone dla popularyzacji Bułgarii w naszym kraju jest Towarzystwo Przyjaciół Polsko-Bułgarskiej z siedzibą w Krakowie, któremu przewodniczy rektor UJ, prof. Mieczysław Karas. Towarzystwo organizuje m. in. odczyty i spotkania z twórcami i naukowcami bułgarskimi, sesje naukowe i popularno-naukowe. (Najbliższa odbędzie się w kwietniu br., poświęcona „powstaniu kwietniowemu” 1866 r.)

W Warszawie działa natomiast (nie tylko dla mieszkańców stolicy) Bułgarski Ośrodek Kultury, który wkrótce obchodzić będzie swe 25-lecie. Ta zastużona placówka rozpoczyna swą działalność od niewielkiej czytelnicy pras i książek bułgarskich. Obecnie jest to nowoczesnie zorganizowane i prężnie działające centrum różnorodnej działalności, mające na celu przybliżenie naszemu społeczeństwu bogatego i wszechstronnego dorobku socjalistycznej Bułgarii. Odbijają się tu liczne imprezy, jak projekcje filmów, odczyty, spotkania z czołowymi twórcami bułgarskiej literatury, sztuki i nauki. Dużym powodzeniem cieszą się kursy języka bułgarskiego, organizowane również poza Warszawą. Każdego roku odbywają się w różnych regionach naszego kraju „Dni Kultury Bułgarskiej”, wypełniane bogatym programem imprez artystycznych.

Wstrząsy ekonomiczne w najpotężniejszych krajach kapitalistycznych pogłębiły kryzys ideologiczny systemu kapitalistycznego. Burżuazyjni uczeni szukają dróg wyjścia, z tego impasu, opracowując wciąż nowe doktryny i plany reform zmierzające do „odmłodzenia” i wzmocnienia systemu kapitalistycznego. Wielu obrońców tego systemu upatruje jedyny ratunek w wyrzuceniu się nawet formalnej demokracji i zastąpieniu jej wojskową dyktaturą.

Jednakże te dywagacje uczonych wzbudzają minimalne zainteresowanie mas i coraz więcej ludzi pracy w krajach zachodnich dochodzi do wniosku, że potrzebne są nie reformy, które prowadzą donikąd, lecz gruntowna zmiana istniejącego systemu kapitalistycznego.

Problemy kryzysowej sytuacji kapitalizmu są przedmiotem szerokiego rozważań zachodnich publicystów, ekonomistów, polityków, działaczy państwowych i innych. Komentator ekonomiczny amerykańskiego tygodnika „The Nation”, A. Wolf, stwierdza, iż w warunkach, gdy prywatny kapitał nie może już więcej zabezpieczać materialnych gwarancji, niezbędnych dla zachowania całego systemu, w jego imieniu, w sferze ekonomiki coraz aktywniej wtrąca się państwo. Jest to fakt, na który coraz częściej zwracają uwagę także publicyści i ekonomiści innych krajów kapitalistycznych. I nie bez kozery. Amerykański ekonomista James O'Connor, autor pracy „Kryzys podatkowego systemu kapitalizmu” uważa bowiem, iż takie wtrącanie się państwa, jest do prostu przeniesieniem problemu z jednej sfery w inną, ponieważ, i jest to pewnik, pomoc państwa nie jest niczym innym, jak tylko przyznaniem się do krachu systemu kapitalistycznego.

W miarę rozwoju tego procesu coraz więcej ludzi zaczyna traktować problem demokracji o wiele bardziej poważnie niż kiedykolwiek przedtem. Z tym wiąże się następna ważna kwestia: w momencie kiedy system kapitalistyczny przestaje funkcjonować, do akcji wkrocza — jak to określa A. Wolf — demokracja. W miarę tego, jak system kapitalistyczny ponosi porażkę za porażką, a demokracja odnosi sukcesy, podstawowe różnice między tymi obu systemami występują coraz wyraźniej i elita władzy, która troszczy się tylko o utrzymanie przy życiu rozpadaającego się systemu kapitalistycznego, coraz agresywniej atakuje demokrację.

Pierwszą salwą z dział największego kalibru w tej wojnie, jest niewątpliwie opublikowany w maju ub. roku memoriał: „System rządzenia demokracją”, opracowany przez specjalną grupę ekspertów ze Stanów Zjednoczonych, Zachodniej Europy i Japonii. Prace tej grupy finansował znany amerykański milioner, David Rockefeller.

W memoriale zwracają uwagę dwa momenty: pesymistyczny ton, w odróżnieniu od owego wojowniczego optymizmu, który panował w początkach lat pięćdziesiątych oraz sztywne podejście do „liberalnej demokracji”. Te dwie cechy: pesymizm i dyktatorskie dążenia — przenikają dokument od pierwszej do ostatniej strony.

Memoriał składa się z czterech części poświęconych: Zachodniej Europie, Japonii i Stanom Zjednoczonym oraz z części zawierającej najwięcej sprzeczności, w której zamykają autorzy kilka uwag na temat zmian strukturalnych. Warto tej pracy poświęcić nieco więcej uwagi. Zarówno w Zachodniej Europie jak i w Stanach Zjednoczonych, twórcy

wskazują, iż od 1964 do 1970 roku obserwowano z jednej strony — gwałtowny spadek zaufania do administracji, a z drugiej — niemniej gwałtowny wzrost przeświadczenia, że państwem rządzi tylko bogactwo i w interesach bogaczy. Równoległe z tym następuje proces spadku zaufania i braku wiary w cały system partyjny. Pociąga to za sobą, według określenia Huntingtona „naruszenie demokratycznej równowagi”, co przeszkadza politycznej naddobudowie w realizacji jej tradycyjnego kursu, zarówno w sferze polityki wewnętrznej, jak i w sferze polityki zagranicznej. Jego zdaniem, jeśli system pragnie skorygować swoją pozycję, powinien przykroć odpowiedni „nadmiar demokracji, ogra-

Włochy — są jeszcze jednym objawem indolencji partii politycznych w zdobywaniu poparcia narodów dla swoich programów.

W memoriale proponuje się także ograniczenia w prasie, cieżka w systemie oświaty, bowiem najmniejsza nawet dawka demokracji w tej dziedzinie rodzi zbyt różowe nadzieje na przyszłość. Autorzy memoriału nawołują do „aktywizacji działań wśród ludzi pracy”, gdyż wrogi stosunek do systemu rodzi się właśnie wśród nich.

Z memoriału przebija paradoksalny fakt — właśnie jego autorzy, przy całym swym negatywnym stosunku do liberalizmu, dali głębszą analizę sprzeczności, ograniczonej i chwiejności współczesnego społeczeństwa kapitalistycznego niż jego krytycy. Może to się wydać nieprawdopodobne, ale autorzy memoriału próbują w istocie wykorzystać idee marksistowskie — ruszając jednakże z zupełnie przeciwnych pozycji.

Stojąc w obliczu bankructwa własnych idei, konserwatywni obrońcy amerykańskiego ładu, zwłaszcza ci, którym najbardziej leży na sercu powstrzymanie jego rozpadu, coraz częściej chwytają się koncepcji swoich ideowych przeciwników, próbując skonstruować na tych koncepcjach własne teorie. Chociaż w tej chwili jest mało prawdopodobne, żeby klasa robotnicza Ameryki była już bez mała gotowa do chwycenia za broń w celu dokonania rewolucji socjalistycznej, Huntington i jego koledzy są zaniepokojeni rozwojem innych zjawisk: obalaniem zasad, masowym cynizmem wobec istniejącego systemu rządzenia, zupełnym brakiem wiary w tę lub inną partię, rosnącymi przejawami przemocy. Ten daleko niepełny rejestr tych zjawisk świadczy o kryzysie kapitalizmu i dlatego napawa ich niepokojem. Ci, którzy ciągną korzyści z istniejącego systemu, mają podstawy do tego niepokoju, widząc, że ustrój traci oparcie i ogół społeczeństwa odnosi się doń z niechęcią i cynizmem.

Można powiedzieć, iż zwracając główną uwagę na polityczną aktywność mas, a nie na manipulację elitą władzy, Huntington stoi na bardziej realistycznym stanowisku, niż inni teoretycy kapitalizmu. Należy w tym miejscu przypomnieć, że to właśnie marksisci stale podkreślają, iż wartości moralne tworzą ludzi zatrudnieni w produkcji.

Memoriał, chcąc nie chcąc, wskazuje na rosnącą tendencję coraz większych mas ludzi pracy do akceptacji polityki, którą popiera sprawiedliwość i chroni osobistą godność człowieka. Jeśli rządząca grupa czuje, że traci władzę, to tylko dlatego, iż masę pracującą rosła w siłę. Ponieważ korzenie społecznego niezadowolenia tkwią bardzo głęboko — pisze A. Wolf — wyjścia z politycznego ślepego zaułka należy szukać nie w sztampowych hasłach czy w programach politycznych reformatorów. Należy przystąpić do pracy nad stworzeniem nowego systemu, bowiem tylko taki system, który będzie naprawdę demokratyczny, może dać impuls nowej energii politycznej i twórczej wyobraźni, tak niezbędnych dla wyjścia na drogę tworzenia pozytywnego i konstruktywnego systemu politycznego.

JERZY CZECH

ZAWSZE CZYNNA W BUDOWANIU POKOJU

Wybory do Sejmu i wojewódzkich rad narodowych, które odbyły się przy bardzo wysokiej frekwencji i przyniosły pełne poparcie dla programu i kandydatów FJN, są najlepszym dowodem wspólnej wszystkim Polakom troski o dobro naszej ojczyzny i jej godne miejsce w świecie. Tak też wyniki wyborów odebrane zostały poza granicami kraju, m. in. w komentarzach prasowych. Wysokie zainteresowanie masowych środków informacji towarzyszyło również pierwszemu i drugiemu posiedzeniu Sejmu nowej kadencji i jego decyzjom.

W exposé prezesa Rady Ministrów obszerna część poświęcona została zagranicznej działalności państwa.

Prawidłowością naszej polityki jest nieustanne pogłębianie sojuszu, przyjaźni i braterskiej współpracy Polski ze Związkiem Radzieckim i innymi krajami socjalistycznymi. Te prawidłowości będziemy zamieniać w dalsze czyny w stosunkach dwustronnych, na forum Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej i w toku prac organizacji Układu Warszawskiego. Ścisła współpraca państw socjalistycznej wspólnoty wywiera zasad-

niczy wpływ na kształtowanie się stosunków międzynarodowych. Potwierdziły to ostatnie lata, zaznaczone zwrotem w kierunku odprężenia i współdziałania państw o odmiennych ustrojach.

Mamy w Europie program umacniania bezpieczeństwa i rozwoju wzajemnie korzystnej współpracy. Jest on zawarty w Akcie Końcowym konferencji w Helsinkach. Wszystkie jego postanowienia będziemy wypełniać rzetelnie.

Kierunek dalszego pokojowego natarcia określony został w rozwiniętym programie pokoju, przyjętym przez XXV Zjazd KPZR. Na naszym kontynencie jednym z najdonioślejszych problemów jest zahamowanie wyścigu zbrojeń i wejście na drogę stopniowego rozbrojenia. Dlatego tak ważne są rokowania wiedeńskie, których tematem jest redukcja sił zbrojnych i zbrojeń w Europie środkowej. Może się ona jednak dokonać tylko na zasadzie wzajemności i nienaruszania czyjegokolwiek bezpieczeństwa.

Droga do Europy pokojowej i współpracującej prowadzi przez eliminowanie występujących jeszcze

barier i ograniczeń w handlu. Z tego względu korzystnie trzeba odnotować wspólne kontakty między RWPG i EWG, które wydają się wskazywać na możliwość znalezienia konstruktywnych rozwiązań.

Spośród partnerów zachodnich Polska szczególne znaczenie przypisuje stosunkom z Francją. Chemy z nią kontynuować dialog polityczny i zwiększać zakres współpracy. Będziemy także rozwijać tradycyjnie już dobre stosunki z państwami nordyckimi — Finlandią, Szwecją, Norwegią, Danią i Islandią. Oczekujemy rozwoju współpracy, zwłaszcza gospodarczej, ze Stanami Zjednoczonymi. Sądymy, że uda się poszerzyć stosunki z Austrią, Belgią, Włochami, W. Brytanią i innymi krajami zachodnimi.

W polskiej polityce zagranicznej szczególne miejsce zajmuje znormalizowanie stosunków z Republiką Federalną Niemiec. Ratyfikacja porozumień podpisanych w październiku ub. roku sprzyja kształtowaniu pokojowej i konstruktywnej współpracy obu państw oraz rozwinięciu procesu odprężenia.

Niezmiennie okazujemy zainteresowanie stosunkami z krajami rozwijającymi się z różnych kontynentów. Kontakty polityczne, współpraca gospodarcza, kulturalna i naukowo-techniczna z nimi może i powinna rozszerzać się.

Wypowiadamy się za pokojowym uregulowaniem konfliktu bliskowschodniego i poprzez udział polskiej jednostki wojskowej w Doraźnych Siłach Zbrojnych ONZ będzie-

my bezpośrednio oddziaływać na rzecz utrzymania pokoju w tej części świata.

Tak więc nasz rząd — co zapowiedział na forum Sejmu premier Piotr Jaroszewicz — będzie kontynuować politykę zagranicą, której celem jest utrwalenie pozytywnych zjawisk w stosunkach międzynarodowych, zapewnienie bezpieczeństwa i pomyślnego rozwoju naszego kraju. U podstaw kursu polityki zagranicznej PRL leży leninowska koncepcja pokojowego współistnienia. Z tej drogi świat nie może zboczyć. Są jednakże koła polityczne, którym taki kierunek rozwoju sytuacji nie jest na rękę. To właśnie z tych kół rozlegają się ostatnio głosy powątpiewania co do zasadności polityki odprężenia. Przeciwna odprężeniu jest również polityka małostowskiego kierownictwa Chin, która coraz częściej sprzymierza się z ośrodkami skrajnej prawicy.

Właśnie dlatego, że powszechny pokój nie jest jeszcze zapewniony — konieczne są dalsze kroki na drodze eliminowania wojny. Exposé prezesa Rady Ministrów PRL raz jeszcze potwierdza, że Polska na arenie międzynarodowej będzie nadal czynna i wszędzie swoimi poczynaniami torować będzie drogę ostatecznemu zwycięstwu pokoju. Taka też jest wola społeczeństwa polskiego, które swymi głosami w poprzednią niedzielę poparło program Frontu Jedności Narodu.

W. ŚLAWSKI



UWAGA! ZACHODZI PODEJRZENIE...

Pewnego dnia — a było to w lutym — moja sąsiadka z sąsiedniego wieżowca postanowiła ugotować obiad. Taka dziwna na chęć napadła ją siedem razy w tygodniu od lat. Żeby ugotować obiad trzeba mieć nie tylko z czego, ale i na czym. Jeżeli chodzi o ten drugi problem to on w zasadzie nie istnieje. Prawie wszędzie gotuje się na gazie. Czynność gotowania na gazie jest czynnością prostą, odbywa się poza udziałem świadomości. Po prostu — bierze się zapalnik, odkręca kurek palnika kuchenki gazowej i zapala. Moja sąsiadka tak właśnie postąpiła. Ale gaz nie zapalił się. Nie zapalił się a wybuchnął. Moja sąsiadka, na szczęście, ma zdrowe serce i szybki refleks. Nie zemściła i „pokręciła pokrętem do punktu zerowego” — jak zaleca instrukcja obsługi kuchenki czteropalnikowej. Ale pokręcenie pokrętem do punktu zerowego nie rozwiązywało sprawy obiadu. A gaz wybuchnął i wybuchnął. Dlaczego gaz, który przez dwa lata użytkowania kuchenki, palił się normalnie, nagle wybuchnął? Oto pytanie analityczne, jakie postawiła sobie sąsiadka. I poszła wyjaśnić problem do administracji. Lecz w administracji nie wiedzieli, dlaczego gaz nagle wybuchnął. Wobec tego sąsiadka wraz z administratorem zadzwoniła do gazowni. Lecz w gazowni nie wiedzieli też, natomiast po dłuższych deliberacjach, gazownia wyraziła domniemanie, iż „zachodzi podejrzenie” zamiany gazu świetlnego na gaz ziemny. Moja sąsiadka, osoba uczynna, wraz z administratorem również człowiekiem pełnym najlepszych chęci, w trosce o lokatorów wypisał ostrzeżenie, używając do tego celu niezwykle sugestywnych w kolorze, czerwonych flamastrow.

„Łódź, dnia 24.02.1976 r. Bl. 243

UWAGA! Administracja SM Ogniw prosi mieszkańców o wzmocnienie ostrożności przy posługiwaniu się urządzeniami gazowymi, gdyż zachodzi podejrzenie zamiany gazu świetlnego na gaz ziemny. W przypadku nie przebudowania kuchni na gaz ziemny można korzystać tylko z dwóch palników, zmniejszając płomień gazu pokrętem do wysokości 1-2 cm. Nie należy korzystać z piekarnika do chwili wyjaśnienia sprawy.

To czerwone ostrzeżenie, wywieszane na tablicy ogłoszeniowej w moim bloku porażło najpierw moje oczy, a następnie serce. To automatycznie: a jeśli „podejrzenie” zamieniło się w fakt dokonany i moja jedenaścioletnia córka zechciała zgotować sobie szklankę wody na herbatę?

Ale nie. Tylko odłóż moją ponurą wyobraźnię podsuwa wieje katastrof wybuchowo-gazowych. Bo przecież wciąż „zachodzi podejrzenie”, mija dzień za dniem, na tablicy ogłoszeń czerwonym flamastrem krzyczy alert: UWAGA! i życie zaczyna przypominać thriller, każda szklanka wody na herbatę staje się wielką niewiadomą czy podejrzenie jeszcze zachodzi, czy już zaszło? Które dwa palniki w mojej czteropalnikowej kuchence są bezpieczne? Te dwa pierwsze, czy te dwa tylne? A może te dwa w lewo skos? Czy w prawo skos?

Tak przeżyłam trzy tygodnie. Wciąż z podejrzeniem. Wreszcie nerwowo nie wytrzymałam, złożyłam wizytę mojej sąsiadce. Może ona wie, kiedy podejrzenie wreszcie znajdzie? Wiedziała. U niej w bloku zaszło trzy tygodnie temu. Najpierw zaszło, potem dzięki interwencji administracji „Ogniw” w gazowni — zaszła fachowcy i wymienili ruszty i co jeszcze trzeba w kuchenkach. Zanim jednak zaszła — podobno — u paru lokatorów wywaliło piekarniki. Ale oparzeń nie było. Pogotowie nie interweniowało. Natomiast, jeżeli chodzi o mój blok (243) kiedy podejrzenie znajdzie, nie wiadomo. Gazownia nie wie. W każdym razie na razie jeszcze nie wie. Za jakiś czas. Gazownia uprzedzi, jak znajdzie.

Ogłoszenie własnoręcznie zdjęłam. Po co lokatorzy mają żyć w ciągłej niepewności? Ale ja w niej żyję. To nie jest życie. Dlatego zwracam się z uprzejmą prośbą do gazowni, aby mi na razie wybudowała komin i wstawiła zamiast kuchenki gazowej kuchenkę węglową. Wołuję nieświadomie ulec zaszczędzeniu, niż mimo wciąż zachodzącego podejrzenia — wybuchnąć. Dostawnie wybuchnąć i w przenośni. Na czym polega wybuch dosłowny, chyba gazownia wie. Na czym polega ten drugi, metaforyczny, może się jednak domyśli.

EWA OSTROWSKA
(gospodyni domowa)



„SAMOCHÓD JEGO MARZEN”

Wzruszył mnie ogromnie reportaż pod tytułem „Samochód jego marzeń”. Tytuł pracy pana Woźniaka poszło na marne! Będzie teraz zaczynał od początku. A może ktoś zechce mu pomóc? Reporter tak sugestywnie przedstawił jego wysiłek, że pomyślałem, aby o tym napisać właśnie. Ja się zgłoszę na ochotnika. Jestem z zawodu ślusarzem, więc znam się też trochę na blacharce samochodowej. Młodo mi będzie, jeśli pan Woźniak skorzysta z mojej bezinteresownej pomocy. Kontakt z mną można nawiązać za pośrednictwem redakcji, do wiadomości której podaję swój adres.

J. ZELMER
(Łódź)

Dalszy ciąg ze str. 1

Potem komory dezynfekcyjne. Są jeszcze stare, prymitywne. Ostatnio zainstalowano nowoczesną, hermetyczną komorę francuską, w której ziola poddaje się dezynfekcji tlenkiem węgla.

Po dezynfekcji, przed krojeniem, aby surowiec się nie kruszył, dokonuje się nawilżania. Wilgotność nie może przekraczać dwunastu procent. Na krajalni kobiety kaszłały, bo obudowa maszyn przepuszcza pył. Korzeniowe (mniszek, żywokost) i owoce — rozdrabnia się.

Na czwartym piętrze znajduje się magazyn półfabrykatów. Kobiety w dużym korycie rosypują zestaw ziół według receptury. Włączają mieszadło i ziola rurami opadają do pakowalni.

Kierowniczka laboratorium wysypuje przede mną mieszankę z torebki i pyta, co to jest. Mówię, że wygląda jak kupka zmiecionych z podłogi śmieci. Pani magister Ewa Klukowa patrzy z politowaniem.

— To są ziola, proszę pana — mówi z ożywieniem — i my musimy dokonać analityki oceny jakościowej. Szyfowa praca.

— Dlaczego?

— Za pomocą pincety należy rozłożyć ziola „na czynniki pierwsze”. Odłożone na kupki zważyć (czy zgadza się skład procentowy), sprawdzić czy nie ma chorób, szkodników i czy znajdują się potrzebne ciała czynne. Do tego wymagana jest nie tylko benedyktyńska cierpliwość, ale przede wszystkim znajomość ziół, kwalifikacje co najmniej techniczne i dwuletni staż. No i kapitalny wzrok, aby wyłowić minimalne różnice barw. Ziola nie zaskadzają, ale mogą nie pomóc. Czuwa nadzór farmaceutyczny.

Klukowa mówi to z pasją i podejrzewam, że ona również nosi w sobie tego dobrotliwego fizja zielarskiego. Opowiada, że pochodzi z Włocławka, gdzie znachor przetrwał wszelkie burze dziejowe. Kiedy przed wojną będąc w piątej klasie zachorowała na szkarlatynę i nie było ratunku, uratował ją znachor.

Jest jedyną kobietą w „HERBAPOLU”, która oprze się dyrektorowi i kierownikowi. Gdyby przepuściła złą mieszankę, cała partia ziół wartości setek tysięcy złotych poszłaby na straty.

Zapytałem młodą kobietę, pracującą przy kruszeniu owoców dzikiej róży czy ma dobry sen.

— Oj, nie bardzo! — szepnęła.

— To mąż też nie pośpi.

Zarumieniła się.

Ziola, które innym przynoszą ulgę, męczą zatrudnionych przy ich obróbce. Władzą pod koszulę i drapią. Najgorsza róża. Na ręcznej pakowalni kobiety pracują z gazowymi tampionami pod nosem. Po godzinie tampiony stają się zielone. Można przy tej robocie dostać jakiejś ziołowej pylicy albo innej zadyzki.

Używano kiedyś półautomatycznego naważalnika. Okazało się, że kobiety z wieloletnim stażem są szybsze i sprawniejsze przy ważeniu. Oko z trudem rejestruje ich ruchy podczas ważenia i pakowania. Ale mają podzierać od kartoników palce. Zarobki niskie, żadnych szans na podwyżkę. Aby akord opłacał się, kierownictwo zmienia formy opakowań na łatwiejsze. Nosi się też z zamiarem wprowadzenia automatycznych sklejarów.

— Ile panie pakują w ciągu ośmiu godzin? — zwracam się do jednej z dziewcząt.

— Zależy od opakowania. Od trzech do czterech tysięcy.

Dziewczyna nazywa się Maria Rosiak, jest członkinią ZMS i współtwórcą hasła, które wisí w pokoju śniadaniowym: „Dobrze pracuj miły, miła, by sobota wolna była. Nie cheesz — nie potrzebujemy cię”.

Mimo trudnych warunków ludzie na trwale związali się z zakładem. Przewodnicząca pracy, Barbara Kacalak z pakowalni, brygadziśka Natalia

Ucinak, weteranki Zakrzewska i Kotlińska. Ta ostatnia jest członkiem KW PZPR w Płocku.

Kiedy mówi się o zielarni, ludzie burczą się.

— Zielarnia, proszę pana, to tu była przed wojną!

„HERBAPOLU” nie można nazwać znachorem. Ale można go nazwać

facet z drugiego końca Polski — mówi Budzyński — po jemiolo, której nigdzie nie może dostać. Dałem mu za darmo sto gramów. Jemiola reguluje ciśnienie.

W „HERBAPOLU” mówią, że dla mężczyzn pozostaje „Trojanka litewska”, „Sklerosan” i nagie piersi. Jeśli idzie o „Trojanke”, to bierze się całe opakowanie, zalewa ćwiartką

Ziół szukają farmaceuci i kosmetycy z Kanady i USA oraz tamtejsza Polonia. Piszą listy tej treści: „Ziola dostarczała mi rodzina z Polski. Teraz ostatni dostawca zmarł. Proszę o pomoc”.

A w kutnowskim „HERBAPOLU” jeden budynek murowany, z boków zaś 2 długachne piętrowe szopy. Strażacy krzyczą, żeby wstrzymać produkcję i rozwalić szopy, bo będzie

RYSZARD BINKOWSKI

ZIELARZ Z AUTOMATEM

wielkim zielarzem. Zielarz kupuje automaty. Dyrektor zrobił mi niespodziankę i na koniec wprowadził do sali, gdzie pracują takie dwa, zainstalowane przez Włochów. Pierwsze w kraju. W każdym mały mózg elektronowy. Automat odmierza dwa gramy ziół, zamyka w bibułce, pakuje, klei i wyrzuca sto pięćdziesiątopakowań na minutę.

— Musimy kupić nowoczesne krajkarki — mówi dyrektor Starosz — bo nasze wysłużyły się przez dziesięć lat. Niebawem zainstalujemy linie wieloczynnościową, która będzie kroić ziola, rozdrabniać i mleć na „fixy”.

3.

Czy na ziołach można zbic forszę?

Budzyński wzywa malarza, otwiera remontowany pokój i odwraca stojącą przy ścianie wielką planszę. Na planszy obok nazwy ziół, kolorowych opakowań i słów zachęty kierowanych do zbieraczy, widnieje skąpo odziana girlsa siedząca na masce samochodu. Duży napis głosi: „Mam za ziółka cztery kółka”.

Gdy dostawy surowca zmalowały, Budzyński wyzwoili w sobie talenty plastyczne i wykonał tę reklamową planszę.

— Pomogło?

— Jasne! Wprawdzie wykonujemy podsiwianie ziół w miejscu naturalnego występowania, np. dziurawiec, mydlnica, kocanka piaskowa, ale to nie wystarczy. Potrzebne były ziola z upraw. I są wyniki. Tak! Jan Obórka uprawia mięcie. Wyciąga sto tysięcy złotych z hektara. Za ziółka postawił dom, murowane budynki inwentarskie, kupił ciągnik z pełnym osprzętem. Ryszard Gasik z Koziej Góry specjalizuje się w uprawie szalwii, naparstnicy i drapacza.

Ziola, jak kobieta — są dobre na wszystko. No i głównie dla pań. Na czerę alabastrową, suchą, gładką, na trądzik — dziewięć maseczek ziołowych. Teraz panie szaleją za „czternastką”, czyli „Normosanem”, który jest przeciw zapaściom, niestrawności, wzdęciom i wadliwej przemianie materii, lecz najważniejszy punkt „wskazań” dotyczy otyłości. „Kapilosan” do włosów jasnych i ciemnych daje miękkość, puszystość i połysk. Korzeń marzanny rozpuszcza kamienie nerkowe, liść brzozy dobry na wzmocnienie włosów i reumatyzm.

— Ostatnio przyjechał zrozpaczony



ZDARZENIA I ZWIERZENIA

PRIMA APRILIS

Stare są tradycje „opowieści zmyślonych”, drukowanych w gazetach z okazji 1 kwietnia. Badacze prasy odnaleźli taką budję już w roku... 1890. Oto filadelfijski dziennikarz na łamach gazety „Press” opowiedział historię farmera, który hoduje... pajaki. Po co? Aby je sprzedawać handlarzom wina. Pajaki osuwały butelki pajęczyną, dzięki czemu towary zyskiwały „naturalną” patynę starości.

Brednia bo brednia, ale podobno ludzie dali się nabrać i do gazety wpłynęły setki ofert od handlarzy win, a informację przedrukowało nawet parę... czasopism naukowych. A to już duża frajda dla autora opowieści zmyślonej.

Bzdura ta miała zresztą dość długi żywot. Jeszcze w latach trzydziestych tego wieku amerykańskie pisma odgrzebywały nieraz tę historijkę. Bodaj ostatnim był magazyn „Atlantyk”, który o pajęczynach na sprzedaż pisał w czerwcu 1937 roku.

Przed bodaj dwoma laty opublikowaliśmy w „Odgłosach” nieznaną wiersz Juliana Tuwima odnaleziony rzekomo w sztabuchu pewnego mieszkań-

ca Łodzi. Wiersz dość udatnie naśladował styl poety i tematycznie odwoływał się do kolekcjonerskich pasji Tuwima. Oczywiście sporo osób dało się na to nabrać, nawet znanecy twórczości poety. Ale zamknięcie autora zmyślenia było, aby ów wiersz znalazł się kiedyś w jakimś poważnym wydawnictwie tuwimianów. Jeszcze nie straconego — takie dzieła rodzą się długo, więc na prośbę autora zmyślenia nie podajemy o jaki tekst tu chodzi. Może się uda?

Sam Tuwim zresztą lubił takie kawały. Był przecież współtwórcą paru numerów pryma-aprilisowych „Kuriera Polskiego”, w tym czasie też powstał cały numer „Tygodnika Ilustrowanego” poświęcony poecie Hugo Bauerowi. Rzecz prosta poezja taki nigdy nie istniał, wymyślił go wraz z biografii, bibliografią i twórczością Antoni Słonimski.

Podobną historię ma na swoim koncie także Konstysty Ildelfons Galsczyński. Wygłosił on mianowicie w Kole Literackim studentów Uniwersytetu Warszawskiego referat pt. „Morris Gordon Cheats czyli plagiaty

spod znaku „Skamandra”. Referat ten o zmyślonym przez Galsczyńskiego poecie ilustrowany był „przekładami” wierszy, rzekomo przetłumaczonymi przez prelegenta. Wynikła z tego duża awantura i rzecz cała oparła się o ówczesnego opiekuna Kola, prof. Józefa Ujejskiego. Na szczęście profesor miał poczucie humoru i Galsczyński wyszedł z tej afery obronną ręką.

I tak to się działo. Skamandryci byli przedmiotem żartu i zmyślenia Konstystego Ildelfonsa; sami z kolei wydawali owe głośne dodatki pryma-aprilisowe „Kuriera Polskiego” i „Przeglądu Wieczornego”. A swoją drogą odważni byli ówczesni redaktorzy. Zresztą sam Tuwim pisał po latach: „Nie rozumiałem, do dziś nie rozumiem jak wydawca „Przeglądu Wieczornego” mógł ten numer wypuścić... Widocznie nie czytał tego cośmy napisali. A napisaliśmy rzeczy otchłanne, piekliwe, ostateczne. Dokument absurdu na kosmiczną skalę zakrojonego”. Szczególnie zabawne były „Ogłoszenia drobne”.

A było tam tak: „Chrześcijańskim sprzedawcą. Kruca 38” i zaraz obok: „Zydz kupi spodnie. Kruca 38”. Albo: „Jakkam się codziennie od 8-12 i od 4-6. W piątek i wtorek dla pań. Wileza 11”. Albo: „Kupię nowy torpedowiec, dwusrubowy, po-

jemność 15-20 tys. ton. Cena nie gra roli. Gęsia 11. Władomość u stróża. I tak dalej i tak dalej.

Ludzie to czytali — jedni z uśmiechem, inni z irytacją, jeszcze inni z kamienną twarzą, „no bo to przecież w gazetce stoją...”. Ale bujd dementować nie warto.

Tak jak to czynił pewien praski dziennik z wspomnień Jarosława Haszka. Oto gazeta codziennie dawała czytelnikom porcję zmyślonych informacji pod sensacyjnymi tytułami: Rewolucja w Argentynie — Straszliwe trzęsienie ziemi — Bunt żołnierzy w Południowej Afryce...

Następnego dnia, gdy czytelnicy chwytały pismo, aby dowiedzieć się, jakie są dalsze losy spraw ogłoszonych wczoraj, gazeta z nieznanym spokojem informowała jak gdyby nigdy nie: Bunt na Celebesie — Afera szpigowska w Australii — Próba wysadzenia Watykanu w powietrze...

I tak codziennie — nie tylko grao do roku na 1 kwietnia. I choć niczego nie dementowano, czytelnicy kupowali gazetę. Do budży bowiem można się nawet przyzwyczaić.

WIDOK

LEWYM OKIEM

LENIWCE PIEROŻNE

Mnóstwo papieru, a jeszcze więcej słów rzucających na wiatr, poświęcono już tym niebawomym, rozpasanym harcom, jakie wyczynia się z naszym językiem ojczystym. Takiej epoki chyba jeszcze nie było, to już nie ma — to paranoja — ale czy warto jeszcze raz zabierać głos w tej sprawie?

Może i warto, ale tym razem w aspekcie odrobinę innym. Wiadomo, że urzędasy, a za nimi zurnidnińczal do ena tak zwani pracownicy naukowcy, pseudonimują, przezywają coraz to inaczej różne sprawy i rzeczy, żeby je utajnić, odzwyczajnić, żeby się zdystansować od profanów, operujących przestarzałymi pojęciami. Stąd nie mamy już praktyk tylko dźwieczność, które dla dzieł ochrzone zostają na przykład mianem oduńdaczki wirowych. Zamiast lodówek mamy chłodzarki i zamrażalnice. Ostatnio pokazały się przechwalniaki, które nie różnią się niczym — oprócz jakości, i to in minus

— od dawno znanych segregatorów. Tylko patrzeć, jak temporewkie zastąpi zastrzarka ołówków. A tu jeszcze włącza się gastronomia, która nie mając od trzydziestu lat czym się pochwalić w zakresie sobie właściwym, sięga po laury w dziedzinie słowotwórstwa. Gastronomia nie jest głupia; dostrzegła magię słów, modę na słowa, egzotyczny wdzięk staropolszczyzny. Jest w Łodzi kawiarnia — w hotelu „Polonia” — która jako swą specjalność ogłosiła Grzaniec Winny. Gdzie indziej można najwyżej poprosić o podgrzanie szklanceczki czerwonego wina, ale wtedy mamy grzane wino, a to żadna specjalność. Dopiero Grzaniec Winny — kapitalny pomysł!

Już widzę lokal pierwszej kategorii ze starszowieńskim specejałem: sadzeńcem jajowym. Sadzeńce jajowy smakuje zupełnie inaczej niż jajko sadzone. Cóż dopiero, gdy popije go się nie prymitywnym ciemnym piwem, tylko ciemniakiem piw-

nym! Nie radzę zamieniać golonki wędzonej na wędzonkę goloną, ale co stoł na przeskoczyć, żeby do tej golonki dać coś zupełnie wyjątkowe: tarcię chrzanna zamiast chrzanu tartego? Żeby pierogi leniwe pażwać w karcie leniwcami pierożnymi, proponować gościom kwaszenie ogórkowe zamiast ogórków kwaszonych i paleńce orzeszne zamiast orzeszków palonych? Od razu można podnieść cenę — bo nowość, od razu ma się egzotyczną specjalność, lepszą niż sławetna „sagówka” w „Sieradziej”, która okazuje się kłuskami, tyle że ciężkimi skońciami, „na sago”. O ciupce z grochem w tejsze „Sieradziej” nie mówię, to wybitnie staropolska potrawa — kapusta z grochem — choć jako żywo nikt ze starych Polaków nigdy tego ciupka nie nazywał, poza może jakąś jedną wioską lub jedną chatą w tej wiosce.

Tak więc wzbogacamy jadłospis nie drogą zwiększenia ilości potraw, tylko drogą mnożenia nazw i to na siłę, na duś. Doborem nazw, a nie doborem potraw, stwarza się pretekst do określenia specjalizacji lokalu.

Kucharcz doskonały — a raczej doskonałe kuchennym — to ten, co ma dużo pomysłów słownych. To nie jest czysta robota, to jest cwaniactwo, a co najmniej wykreślenie się sianiem.

Jednocześnie chciałbym przypomnieć pewien szyld, o którym pisałem dwa lata temu, a który wiści do dziś, wyroby ciastkarskie. Ciastka nie będą lepsze od tego, że się je nazywie „wyrobami ciastkarskimi”. Tyle że malarz szyldu więcej zarobił, bo płaci mu się o literki. Ale i w tym wypadku u podstaw leżała przecież chęć podniesienia rangi sklepu cukierniczego. Powtórzę to, co pisałem przed dwoma laty: czy mamy ogłaszać „wyroby meblarskie” zamiast mebli, „wyroby krawatarskie” zamiast krawatów, i „wyroby piśarskie” zamiast książek?

Każde pismo ma swój tygodniowy felieton. Zauważcie jednak, że tylko u nas jako specjalność „Odgłosów”, prowadzimy tygodniowe felietony! Rzetelny wyrób felietoniarSKI!

ĆWIEK

PROPOZYCJE

SUPER-LUX i PRYSZCZE

Niedawno „Express Ilustrowany” doniósł radośnie, że dwa przedsiębiorstwa handlowe dotrzywały słowa i remoni restauracji „Wars” na dworcu Łódź-Kaliska oraz „Delikatesów” przy ul. Piotrkowskiej 82 zostały ukończone w terminie. Zdobnie wielkie to wydarzenie i nie dziwuje się radości popularnej popołudniówki.

Zwroćcie uwagę Klientom remontowanych „Delikatesów” w przewidzianym terminie stało się powodem do jeszcze jednej radości. Oto otrzymaliśmy pierwsze i jedyne w Łodzi „Delikatesy-Lux”. Odwiedziłem te luksusowe „Delikatesy” nie w dniu otwarcia, ale w kilka dni później i stwierdziłem, że w gruncie rzeczy nie ma w nich nic nadzwyczajnego, czego nie mógłbym kupić przy sprzyjającej okazji w innych sklepach, zarówno „delikatesowych”, jak i popularnych już „super-samach”. Muszę też stwierdzić obiektywnie, że wnętrza „Delikatesów-Lux” jest bardzo ładne. Ale z tego nie jeszcze nie wynika, w Warszawie na przykład w pierwszym lepszym sklepie śródmiastca można bez trudu dostać o wiele więcej towarów i to bardziej atrakcyjnych niż w łódzkim „Luksusie”.

Zastanawia mnie nasze umiłowanie nieustannego tworzenia nowych nazw i mnożenia ich przez dodawanie słowa: „super”

lub „lux”. Jest to zjawisko wielce charakterystyczne i zupełnie bezużyteczne. Jednakże istota zabawy w tworzenie nowych nazw wcale nie jest taka nieszkodliwa. Wielu ludzi w kraju z uporem godnym lepszej sprawy traci czas na wymyślanie nowych nazw w miejsce już istniejących. Na przykład już dawno „latarnie uliczne” zastąpiono „punktami świetlnymi”. Teraz miałem okazję przekonać się, że „linijka” zamieniono na „przymiar liniowy zwykły”, a „lampę wiszącą” zastąpiono brydżkim „zwisem”. Są to oczywiście — nieliczne tylko przykłady tej radości twórczości językowej i każdy może je sobie dowolnie powiększyć sięgając do własnej praktyki.

Tworzenie nowych i czasem zupełnie niepotrzebnych nazw w miejsce już istniejących nie ułatwia komunikowania się w polskim języku. Nie ułatwia też tego przenikanie do codziennego języka żargonów zawodowych, które nasz język tylko szpeca i zubożają. Coraz częściej można się spotkać z przykładami, kiedy powszechnie używane terminy zastępuje się nowotworami lub terminami zaczerpniętymi ze „Słownika wyrazów obcych”, aby zdziwić tym czytelnika i dać wyraz źle pojętej naukowości i głębi.

O tym, że coraz trudniej nam porozumiewać się we własnym

języku świadczą nieliczne na łamach prasy spory i polemiki. Wprawdzie od dawna wiadomo, że kiedy dwóch mówi to samo, to nie zawsze znaczy to samo. Ta świadomość powinna raczej nakazywać dążenie do zrozumienia nacji i myśli przeciwnika, ale najczęściej argumenty idą w kąt, aby ustąpić miejsca wytkaniu sobie przyszyje na buzi.

Od dłuższego czasu na łamach „Szpilek” czytelnicy tego pisma satyrycznego teza bój o... Zygmunta Kalużyńskiego, który miał swego czasu odwagę w audycji telewizyjnej „Sam na sam” wypowiedzieć inne niż się po nim spodziewano sądy o ostatnim filmie Jerzego Antezaka. I gdybyż przedmiotem sporu były argumenty i poglądy Zygmunta Kalużyńskiego, to nie byłoby w tym nic dziwnego. Przeciwnie, można byłoby to uznać za wkład do rozwoju życia umysłowego kraju. Ale przedmiotem sporu są... maniere tego popularnego i znakomitego krytyka.

Taka „metoda” jest dość charakterystyczna dla naszego życia umysłowego. Wystarczy napisać coś lub powiedzieć, co nie mieści się w powszechnie przyjętych opiniach, przypomnieć tylko, że występujące w życiu zjawiska są złożone i zawierają wewnętrzne sprzeczności, a zaraz można dowiedzieć się, że „obrazoburca” ma krzywe nogi i duże uszy. Czy ma rację? — to już mało kogo obchodzi.

Polemizować — niestety — nie można bez zrozumienia poglądów przeciwnika i precyzyjnego

wyłożenia własnych. A gdy się nie posiada na dodatek kontrargumentów to jakże chętnie sięga się po inwektywy. Dużo łatwiej bowiem wykiwnąć komuś, że miał trudne dzieciństwo niż udowodnić, że nie ma racji. Łatwiej jeszcze obrazzić się niż przyznać, że ma rację.

Czy radosna twórczość językowa, rozpasanie w tworzeniu nowych nazw i terminów ma związek z rosnącą nieprecyzyjnością we wzajemnym komunikowaniu się ludzi? W moim przekonaniu — tak. Tworzenie bowiem nazw, które są same dla siebie, które nie oddają istoty rzeczy jest odbiciem sposobu myślenia, a raczej bezmyślności. Nie mogę zrozumieć, dlaczego „linijka” musi być „przymiarem liniowym zwykłym” i dlaczego „Delikatesy-Lux” muszą koniecznie mieć dodatek „Lux”, skoro ani w pierwszym, ani w drugim przypadku nazwie nie towarzyszy nowa jakość? Wszelka radosna twórczość, z której nie wynika, i która do niczego nie prowadzi ma to samo źródło: bezmyślność. Z bezmyślności rodzą się też polemiki o wielkich uszach i przyszyje. A może by więc pomyśleć o ochronie języka i położyć kres tym, którzy uparli się bezmyślności? Może to przyczyni się, że ludzie polemizując szczerą zastanawiając się nad tym, co chcą powiedzieć i jakie mają argumenty? Może.

MARCIN RODAK



POE

Edgar Allan Poe — poeta amerykański z pierwszej połowy XIX wieku do dziś jest autorem czytelnym i tłumaczonym na wiele języków. Jego nowele charakteryzujące się nastrojem grozy i niepokojem stawiają pisarza w rzędzie prekursorów literatury fantastycznej.

W międzywydawniczej serii „Biblioteka Klasyki Polskiej i Obcej” ukazało się już drugie wydanie „Opowieści niesamowitych” Edgara Allana Poe. Twórczość tego pisarza odznacza się niezwykłą oryginalnością i siłą wyobraźni, której źródła można dopatrywać się w zdziwiającej umysłowości Poeo, stanowiącej rzadką syntezę bujnej wyobraźni poety i drobiazowej wnikliwej analityki i psychologa. Stąd zadziwiająca skala zainteresowań pisarza i różnorodność wątków niezrównany jego opowiadań.

Poeo pociągła też wiedza okultystyczna, magnetyzm, metafizyka... Motyw śmierci pozornej — obsesji pisarza — występuje w wielu opowiadaniach. Utwory Poeo to szalenie ciekawe i wyjątkowe dzieła uchwytne wizeru. Marzenie graniczy z rzeczywistością, rzeczywistość — z marzeniem. Wydany ostatnio tom „Opowieści niesamowitych” zestawiono z przekładami Bolesława Leśmiana z roku 1913 oraz Stanisława Wyrykowskiego z roku 1956. Bardzo dobrze, że przypominano te nieznanie dzieła prawie zupełnie przekładki Leśmiana. Siła wyobraźni, upodobanie do fantastyki i dziwności, uważanej przez obu autorów za niedozwolony element poezji, wydaje się szczególnie predestynować poezję Między-Polski jako odzwierciedlenie sennych wizeru i makabrycznej groteski największego romantyka Ameryki.

Edgar Allan Poe „Opowieści niesamowite”, Wyd. Literackie, cena 43 zł.

LISTY REYMONTA

Saga rodu Reymontów sięga siedemnastego stulecia i czasów potopu szwedzkiego, kiedy to pewien młody przybysz z północy zakochał się w pięknej Polce i osiadł we wsi Gidle w powiecie radomszczańskim.

Taka jest romantyczna legenda rodziny, z której pochodził ojciec autora „Chłopów” i „Ziemni obcane”. Dalej już historia tego rodu sformowana jest nową odmianą nazwiska — Reymont. I na tym historia rodu się kończy, pisarz bowiem nie miał dzieci, które nosiłyby po nim sławne nazwisko. Jednakże ogzystnienie jego literackiego nazwiska nie straciła na żywotności, a to dzięki trwałym wartościom, które Władysław Stanisław Reymont wniósł do literatury i kultury polskiej i światowej.

Niedawno PIW opublikował opasty tom listów pisarza do rodziny. Zachowane listy są zaledwie cząstką jego rozległej korespondencji. Niektóre spośród korespondentów, jak ojciec, matka, siostry — zostali szczególnie poszkodowani. Listy Reymonta do nich albo zostały zupełnie przepadły, albo też dotąd nie zostały odnalezione. Liczebna szczupłość odnalezionych listów nie pozwala na wyjaśnienie i rozwiązanie wielu faktów z bogatego życia Reymonta.

W opublikowanym tomie, razem z listami do rodziny, miała się ukazać korespondencja Reymonta z przyjaciółmi, jak informują wydawcy, ten drugi blok listów jest już całkowicie opracowany. Ponieważ jednak są szanse dotarcia do jeszcze dziś nieznanych listów Reymonta do przyjaciół — PIW zdecydował wydać drugi tom osobno w terminie późniejszym. W ten sposób będziemy mieli dwa tomy korespondencji polskiego laureata Nobla.

Tom listów do rodziny Władysława St. Reymonta opracowali Tomasz Jodelka-Burzecki i Barbara Kocówna.

Wł. St. Reymont — „Listy do rodziny”, PIW, cena 70 zł.

ENCYKLOPEDIA SZTUKI

„Słownik terminologiczny sztuk pięknych” obejmuje terminy związane bezpośrednio ze sztukami plastycznymi oraz z pewnymi dziedzinami kultury materialnej. Uwzględnia słownictwo z zakresu nauk pomocniczych historii sztuki. Zawiera też głównie terminy ze sztuki Europy i basenu Morza Śródziemnego, a także ważniejsze terminy sztuki islamu, Srodkowego i Dalekiego Wschodu.

Słownem jest to ambitna i wyczerpująca encyklopedia sztuki. Jest to zresztą drugie już wydanie, poszerzone o pojęcia historyczne dotyczące stylów i ważniejszych kierunków artystycznych oraz o dzieła sztuki tych kręgów kultury, które nie dają się podporządkować szerszym pojęciom stylowym. Słownik zawiera około 4 tysięcy terminów, ilustrowany jest też dziesiątkami rysów i fotografii. Publikacja przeznaczona jest dla szerokiego kręgu odbiorców — ludzi, którzy interesują się sztuką i pragną ją lepiej poznać.

„Słownik terminologiczny sztuk pięknych”, PWN, cena 129 zł

WORCELL NIEZNANY

Henryk Worcell najbardziej znany jest z literackiego autentyczku, którym debutował — z „Zaklętych rewirów”. Celem tomu opracowanego przez Jerzego Plute jest przypomnienie Worcella reportażysty, a zarazem ocalenie od zapomnienia „dism pomniejszych”, które są zarówno dokumentem przemian społeczno-obyczajowych na Dolnym Śląsku po roku 1945, jak i znakomitym wprowadzeniem do worcellowskiej prozy narracyjnej.

Zbiór reportażów i wypowiedzi Henryka Worcella unaoznacza jeszcze jedną prawdę o autorze „Parafian”, prawdę, której nie wszyscy krytycy są świadomi. Obiegowe opinie o prozie Worcella ująć można skrótozo tak: proza na pograniczu pamiętnikarstwa i prozy narracyjnej. Jest to teza — gdy znamy worcellowskie teksty parafianckie — której nie da się obronić. Opowiadania i powieści Worcella podporządkowane są bowiem prozatorskim regułom gry, a nie regułom pamiętnictwa dokumentalnego, natomiast w prozie tej nastąpiło integralne zespolenie autobiograficznych rekonstrukcji z konstrukcjami literackimi.

Tak więc tom opracowany przez Jerzego Plute ukazuje nam jak gdyby niewidoczny dotychczas rewers twórczości pisarza znanego dotąd tylko z awersu — „Parafian”, „Najtrudniejszego języka świata”.

Henryk Worcell „Noe, kiedy przychodzi świnią”, Wyd. Ossolineum, cena 25 zł.

WARTO PRZECZYTAĆ

Kazimierz Korcelli — „W stronę teatru”, LSW, cena 30 zł, Julian Przybysz — „Utwory poetyckie”, LSW, cena 200 zł, Wojciech Natanson — „Uśmiech i poezja Jana Sztajndyngera”, Wyd. Łódzkie, cena 22 zł.

Wasił Popow — „Puch na dziesięć poduszek”, PIW, cena 20 zł,

Ilija III, Eugeniusz Pietrow — „Dwanaście krzesel”, Iskry, cena 40 zł,

Stanisław Zieliński — „Wycieczki balonem”, Wyd. Literackie, cena 40 zł,

Wanda Zólkiewska — „Dzikus czyli wyjęty spod prawa”, Czytelnik, cena 18 zł.

ZWIĄZAĆ SZNURKIEM I JAKOŚ TO BĘDZIE

W ubiegłą sobotę i niedzielę odbyły się w Michałkowicach zawody gimnastyczne Polski i Francji. Odbywały się one w ramach przedolimpijskich eliminacji. Jest to sport bardzo widowiskowy, łączący w sobie elementy akrobacji z baletem. Nie więc dziwnego, że telewizyjny „Sprawozdawca Magazynu Sportowy” przekazał w niedzielę obszerną relację z Michałkowic. Było na co popatrzeć. Można było się nawet ucieszyć, że nasze gimnastyczki wygrały, gdyby nie pewne „ale”.

Już w czasie pokazywania pierwszej konkurencji — skok przez konia — sprawozdawca telewizyjny był uprzejmy poinformować ogólnopolską widownię, że spotkanie to doszło do skutku jedynie dzięki uprzejmości przedstawicieli najwyższych międzynarodowych władz sportowych tej dyscypliny. Pani ta bowiem po prostu obniżyła wymagania i przyznała oko na jakość naszego sprzętu, który jej zdaniem w ogóle nie nadawał się do międzynarodowego spotkania, a już w żadnym wypadku do przedolimpijskich eliminacji. Do czego ten sprzęt nadawał się, tego jakoś nikt nie powiedział, ale można się tego domyślić.

W czasie ćwiczeń na równoważni niemał wszystkie francuskie zawodniczki popadały, a sprawozdawca telewizyjny cieszył się, że sirona francuska nie złożyła protestu, bo wtedy... Co wtedy, tego też nie powiedział, ale można się domyślić, że wtedy należałoby unieważnić zawody. Sprawozdawca powiedział: „szkoda, że państwo tego nie widziecie, ale ta równoważnia — naszej niestety produkcji — drga podczas ćwiczeń zawodniczek”. A równoważnia drgać nie powinna. Nasze dziewczęta sa do tego przyzwyczajone. Francuzki widać nie i dlatego spadały. Powinny być one ucieszone, że Polki wygrały. Ale nie cieszyliśmy się. Do tej pory na ogół przekrzykiwaliśmy, bo mieliśmy gorszy sprzęt. Teraz dzięki temu wygraliśmy. Wstyd mi było. Cały czas zastanawiałam się, co chciał powiedzieć telewizyjny sprawozdawca, kiedy oświadczył, że nie przygotowanie spotkania gimnastyczne nie jest winą organizatorów i że niech się tym już zajma odpowiednie władze. Jak się już zaczyna mówić „A”, to trzeba być przygotowanym do tego, że będzie się musiało powiedzieć „Z”. Telewizyjny sprawozdawca wolał zrobić aluzję, a ja zastanawiałam się, czy „odpowiednie władze” to tylko władze sportowe wyższego szczebla, czy może już prokuratura?

Spotkanie gimnastyczne Polski i Francji w Michałkowicach unocznili nam tę stronę niedomagań sportowych, o których od dawna się mówi, ale które traktuje się jako narkotyk lub fochy nie wiedzących czego już chcą sportowców. Coraz to dyscyplin wychodzi na wierzch sprawa sprzętu. Hu! i Wagner powiedział kiedyś: — Przynajmniej dylek japońskich zaszczytów mi swego czasu miesiąc treningu. Bardziej to cenię niż badanie krwi”.

Andrzej Ruciński — trener Polskiego Związku Kolarskiego ujął to bardziej ogólnie: — „Reprezentanci Polskiej przytłoczeni przez polskie związki sportowe często chałmuśniczymi metodami, muszą walczyć z przeciwnikami pracującymi w nieporównanie lepszych, więc znakomych warunkach”.

Po meczu mielecki STALI z Hamburger SV słyszałam zdania, że był to mecz zawodowców z amatorami. Taką opinią miała usprawiedliwiać przekręcającą STALI. Ale, czy usprawiedliwiała? Czy mielecki klub nie stać na to, aby jego zawodnicy byli podobnie przytłoczeni?

Przyzwyczajaliśmy się uważać, że nasze amatorki kolarstwo jest dziś światową potęgą. Mamy mistrzów, wygrywamy wysiłki, jak choćby teraz ten algierski. Tylko w konfrontacji z zawodowcami wypadamy raczej słabo. Ale Andrzej Ruciński, który jak twierdzi sprzet zna już od 25 lat, jest innego zdania. On uważa, że u nas „kolarstwo umiera”. A ta śmierć dokonuje się przy pełnej świadomości takiego stanu wszelkich władz sportowych. Przyczyna? Po prostu: brak sprzętu. I rzecz nie w tym, że taki sprzęt można importować. Rzecz w tym — zdaniem trenera PZ Kolarskiego — że posiadając własną fabrykę rowerów powinniśmy mieć sprzęt sami produkować i byliśmy już na dobrej drodze „ale”.

Wiem, że wszystkie analogie są zawodne. Ale swego czasu również w gospodarce dominował pogląd: „Jakoś to będzie”, „doności się rusza, to niech leci dalej, a potem się zobaczy”. Zerwali się już z takim poglądem i zbożaczli się przemysł nowoczesna technika i nowymi technologiami. W sporcie natomiast nadal pokutuje pogląd, że wystarczy związać sznurkiem i jakoś to tam będzie. Ale nie jest. Co chwila gdzieś się jakiś sznurek rozwiązuje jest... kłapa.

Czas więc chyba najwyższy, aby z takimi poglądami zerwać również w sporcie, jeśli chcemy coś osiągnąć w skali międzynarodowej. A przecież chcemy. Może na początek warto byłoby... przeczłonić działaczy, aby zaczęli myśleć innymi kategoriami.

BOGDA MADEJ

PS. Każdej niedzieli Tomasz Hopfer pokazuje znakomite bramki, jakie padły na zagranicznych boiskach. Czy kamerzyści TVP nie mogliby nauczyć się tego samego? To, co pokazano w niedzielę, 28 marca 1978 roku, późnym wieczorem jako relację z ligowych boisk było czystą kpiną z kibiców, którzy do późnej pory czekali na telewizyjną relację.

Nadeszła wreszcie oczekiwana chwila zakończenia działań wojennych. 8 maja 1945 r. w Karlhorst, na przedmieściach Berlina, Niemcy podpisują akt bezwarunkowej kapitulacji. Oznacza to koniec wojny w Europie. Koniec wojny na wszystkich frontach, a więc także na tajnym froncie, którego linia często nie pokrywała się z linią działań na lądzie, morzu czy powietrzu. Zazwyczaj znany imiona i nazwiska bohaterów walk toczonych na frontach wojen. Okryte chwałą otacza pamięć i szacunek społeczeństwa.

ANDRZEJ BLAJER

PO WOJNIE

Bohaterowie walk na tajnym froncie pozostają zazwyczaj nieznanymi, choć często ich wkład w ostateczne zwycięstwo był nie mniejszy. Wokół postaci wielu z nich narosły legendy, ich działalność nie zawsze była przedstawiana w sposób uczciwy i zgodny z prawdą. W pewnym stopniu przyczyniła się do tego tajemnica, która jeszcze przez długie lata po wojnie nie pozwalała rzucić światła prawdy na szereg faktów. Dlatego też do spraw związanych z historią tajnego frontu II wojny światowej, zachowując oczywiście pełny szacunek dla jego rzeczywistych bohaterów, należy podchodzić z dużą ostrożnością i krytycyzmem.

Zaczynając od ukazania losów tych, którym w niniejszym cyklu poświęciliśmy najwięcej miejsca i uwagi, to jest losów SANDORA RADO i jego grupy. Jej działalność od jesieni 1942 r. ulegała powolnemu ograniczeniu, kiedy to kontrwywiad szwajcarski, zlikwidował radiostację, za pośrednictwem której grupa utrzymywała kontakt z centralą w Moskwie. Część jej członków, a zwłaszcza radiotelegrafistów znaleźli się w wzięciu, z którego wprowadzono do kilku miesięcy, zostali zwolnieni, niemniej nie udało się już przywrócić dawnej łączności z Moskwą. Zresztą wszyscy oni znajdowali się pod czujną obserwacją policji i kontrwywiadu szwajcarskiego. Sam Rado, choć udało mu się uniknąć aresztowania, był niemal całkowicie izolowany od organizacji, ukrywał się przed władzami i dopiero w połowie września 1944 r. został przetrzymany na terytorium Francji, dzięki pomocy partyzantów francuskich.

Z całej radiotelegraficznej sekcji wywiadowej jedynie grupa kierowana przez OTTO PÜNTERA pozostała niekierowana i pracowała jak dawniej, co z tego, kiedy jej informacje nie docierały do adresata. Choćby o działalności „Pakbo” powiedziano sporo, w niniejszym cyklu poświęcimy mu jednak jeszcze kilka chwil. Otto Pünter był znanym dziennikarzem o porachach socjaldemokratycznych. Działalnością wywiadową zaczął się stosunkowo wcześnie, bo jeszcze w okresie wojny domowej w Hiszpanii w latach 1936—1939. Wówczas to Pünter założył własną stację informacyjną, która z chwilą rozpoczęcia się II wojny światowej uległa dalszej rozbudowie. Do jego głównych informatorów należeli m.in. włoski minister obrony Faciarioli, francuski dziennikarz „Long”, a także inne osoby: „Negre”, „Alabazek”, „Salter”, chiński dyplomata „Polo” oraz sztućcarz „Roi”. W skład stacji wchodziły również niemieccy politycy, którzy po dojściu Hitlera do władzy zostali smutnie do opuszczenia swego kraju. Należała do niej również niemiecka grupa opozycyjna o kryptonimie „Feld” i katolicka linia informacyjna Monachium — Freiburg — Rzym kryjąca się pod kryptonimem „Lily z Watykanu”. Silne więzi łączyły

jego grupę tak z kontrwywiadem „Wolnych Francuzów” de Gaulle'a jak i z brytyjską Secret Service, której Pünter oddał znaczne usługi. Był zresztą do końca postacią dość zagadkową i nieco kontrowersyjną, podobnie jak inny członek grupy Rado, Anglik ALEXANDER FOOTE („Jim”). Ten ostatni stał się po wojnie sławny dzięki opublikowaniu swego „PODRECZNIKA DLA SZPIEGÓW”, książki, która miała odsonić kulisy działalności organizacji „DORY”, a w rzeczywistości okazała się zwykłą pogonią za wątpliwą popularnością, jako że aż się roi w niej od nieścisłości i faktów niezgodnych z prawdą.

Jeszcze w CZERWCU 1945 r. władze szwajcarskie rozpoznały postępowanie sądowe przeciwko głównym członkom grupy „Dory” i jej radiotelegrafistom. Na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać, że to nieporozumienie. Przecież ci ludzie nie tylko nie działali na szkodę interesów Szwajcarii, lecz wręcz przeciwnie, prowadząc z jej terytorium wojnę z wywiadem III Rzeszy oddali Konfederacji nieocenione korzyści. A w momencie, gdy należałoby podkreślić i docenić te zasługi wytycza im się proces? Sprawa staje się jednak całkowicie jasna, gdy uwzględnimy atmosferę, jaka zapanowała w tym okresie w Europie zachodniej. Proces odbywał się zresztą w dwóch etapach, mianowicie w PAŹDZIERNIKU 1945 r. i DWA LATA PÓŹNIEJ.

Aktem oskarżenia zostali objęci oprócz Sandora Rado i jego żony Heleny, również: RACHELE DÜBENDORFER („Sissy”) i jej mąż PAUL BOETTCHER, CHRISTIAN SCHNEIDER i, co najważniejsze, RUDOLF RÖSSLER, dziennikarz, który przez całą wojnę pracował dla wywiadu szwajcarskiego przekazyując mu bezcenne informacje o przeciwniku. Przed sądem stanęli także EDMOND i OLGA HANFLOUWIE, MARGIT BOLL i Alexander Foote. Wyroki, które zapadły w KOŃCU PAŹDZIERNIKA 1947 roku opiewały kary więzienia i grzywny. Najwyższe kary orzeczono wobec Rado (zaocznie) — 3 lata więzienia, Foote'a — 2,5 roku (również zaocznie) oraz „Sissy” i „Paula” po 2 lata. Pozostali zostali skazani na kary od kilku miesięcy do roku oraz grzywny. Z całej grupy uwięziono jedynie Rösslera.

Warto wspomnieć o nim samym i jego tajemniczych źródłach informacji w Berlinie, które wywiad radziecki oznaczył kryptonimami: „WERTHER”, „OLGA”, „BIL”, „ANNA”, „THEDDY”, „FERDINAND” i inni. Kim byli ludzie, którzy kryli się pod tymi pseudonimami? Czy byli to potężniejsze osoby, czy też ciche bruny? Do jakich kręgów opozycji należeli i jakie przewidywały im cele? Dłuzsze mimo tak staranne i czujnej kontroli władz bezpieczeństwa Rzeszy, mimo tak potężnego rozbudowanego aparatu terroru, do końca wojny nie udało się Niemcom rozszyfrować



tej zagadki? Sprawa ta do dziś nie wyjaśniona bezustannie intryguje tak zawodowych badaczy historii wywiadu w II wojnie światowej jak i całe rzesze amatorów i wszystko wskazuje na to, że na zawsze pozostanie okryta tajemnicą. Znal ją bowiem tylko Rudolf Rössler, który zmarł w 1953 roku. Wprawdzie przed śmiercią powierzył ją synowi swego szwajcarskiego przyjaciela, XAVERA SCHNEPERA z zastrzeżeniem, że ten ujawni ją dopiero po upływie 20 lat, lecz młody Schnieper zginął w rok później w wypadku samochodowym.

Pisząc o głównych postaciach i grupach toczących walkę na tajnym froncie w Szwajcarii, nie sposób nie wspomnieć o organizacji wywiadowczej kierowanej przez dziennikarza i współpracownika wywiadu szwajcarskiego, KURTA EMMENEGGERA. Emmenegger, alias „QN”, alias „DR J.C. MEYER” w wydanej przez siebie książce: „QN WUSSTE BESCHIED” podaje, że się, którą założył, funkcjonowała od wiosny 1940 roku do końca wojny i pracowała na rzecz wywiadu szwajcarskiego. Z jego relacji wynika, iż sztab generalny Szwajcarii wysłał go wiosną 1940 roku do Berlina, skąd jednak po pewnym czasie „QN” czyli „Dr Meyer” został wydalony. Po powrocie do kraju zakłada w Zurychu instytucję o nazwie „BÜRO FÜR WIRTSCHAFTSBERATUNG”, które zarazem było placówką zagranicznej służby wywiadowczej Szwajcarii i nosiło kryptonim „UTO”.

Informacje przekazywane przez „QN” dotyczyły przede wszystkim sytuacji politycznej, ekonomicznej i wojskowej III Rzeszy, a także ruchów sił Wehrmachtu w południowych rejonach Niemiec. Poza tym „QN” donosił o kontaktach z przedstawicielami opozycji i ruchu oporu. Zdania, które wykorzystywał do zbierania tych informacji były dość rozległe i różnorodność, gdyż do informatorów „Meyera” należeli m.in. dyrektorzy wielkich zakładów przemysłowych Rzeszy (jak zakładów lotniczych czy koncentrow w Zarlębiu Ruhr), businessmeni, wyżsi oficerowie Wehrmachtu, w tym nawet generałowie, prawnicy i wyżsi funkcjonariusze instytucji rządowych, a nawet dostojnicy SS.

Szef szwajcarskiego wywiadu — ROGER MASSON z chwilą zakończenia wojny znalazł się w dość trudnej sytuacji, musiał się bowiem rozliczyć z kry, jaką prowadził swego czasu z Walterem Schellenbergiem. Przeciwnik Rogerowi Massonowi władze wszewyły dochodzenie, ale do rozpraw sądowej nie doszło, gdyż na jesieni 1945 roku został przeniesiony w stan spoczynku. W kilka lat później Massonowi jeszcze raz przyszło się spotkać ze swoim przeciwnikiem z okresu wojny. Oto bowiem Walter Schellenberg znów pojawił się w Szwajcarii, tym razem w zupełnie innym charakterze. Zwolniony przedterminowo z amerykańskiego więzienia, gdzie odsiadywał karę 6 lat więzienia błąd SS-Brigadeführer zwrócił się o pomoc do Massona. Jego stan zdrowia poprawiał się coraz bardziej, toteż liczył, że Roger Masson udzieli mu schronienia i opieki lekarskiej. Były szef wywiadu szwaj-

carskiego powierzył go opiece swego osobistego lekarza, który ukrył Schellenberga w pobliżu Ramont między Lozanną a Freiburgiem. Nie udało się jednak zachować przed władzami tajemnicy o pobycie w Szwajcarii beniaminka Hitlera. Postanowiono natychmiast wydaląc Niemca poza granice kraju. Aż do swej śmierci w 1953 roku Walter Schellenberg przebywał w pobliżu granicy szwajcarskiej mieszkając w luksusowej willi nad Lago Maggiore, utrzymując się za pieniądze Anglików uzyskane w zamian za ujawnienie wielu tajemnic III Rzeszy.

Kończąc, nie sposób nie wysnuć choćby kilku refleksji. Przedstawione w nim fakty i wydarzenia dotyczące tajnego centrum tajnego frontu, które znajdowało się w Szwajcarii, są przeważnie mało znane zwłaszcza polskiemu czytelnikowi. Pojawilo się już wprawdzie szereg książek i artykułów poruszających ten ciekawy i zarazem tajemniczy temat, lecz są to przeważnie opracowania zachodnie, które niestety nie zawsze wiernie i rzetelnie przedstawiają historię szwajcarskiego centrum. Mieliśmy okazję niejednokrotnie się o tym przekonać, pisząc o tych właśnie sprawach. Szczególnie charakterystyczne pod tym względem są próby podejmowane przez historyków i specjalistów zachodnich, czy to francuskich (zwłaszcza Acoocca i Queta) czy zachodniemieckich bądź szwajcarskich, wzmianki czytelnikowi, iż kłeska hitlerowskich Niemiec została spowodowana niedoścignięciem Hitlera i zdradą ze strony niektórych wysokich oficerów z naczelnych instancji dowodczych Wehrmachtu oraz, że dokonała się nie pod Stalin-gradem, Kurskiem i Berlinem, ale w odległej, neutralnej Szwajcarii na tajnym froncie II wojny światowej. Pogląd ten znajduje dobre odzwierciedlenie w książce, przy przedstawianiu roli i podkreślaniu wielkiego znaczenia dla losów wojny działalności radzieckiej grupy wywiadowczej kierowanej przez „Dorę”.

Sedno takiego rozumowania sprzeczne jest do tego, że gdyby nie to, iż Rosjanie weszli w posiadanie tajemnic wojskowych III Rzeszy, losy wojny mogły wyglądać zupełnie inaczej. I choć trudno sobie wyobrazić, aby rozsądnie myślący znający przebieg wydarzeń na frontach II wojny światowej mógł zaakceptować tego rodzaju poglądy, to jednak dążenie do upowszechniania takiego schematu myślowego w świadomości czytelnika zachodniego jest bardzo symptomatyczne. Jego bowiem wyraźnym celem jest konsekwentne pomniejszenie roli, wysiłku i wkładu, jaki w ostateczne zwycięstwo nad hitlerowskimi Niemcami wniosł Związek Radziecki. Dlatego też dobrze się stało, że tak fascynująca książka, jaka są pamiętniki szefa radzieckiej sekcji wywiadowczej w Szwajcarii, Sandora Rado („Dora nadal”), trafiła również do rąk polskiego czytelnika. Wzgorzał on bowiem nasz zasób wiedzy o tym najmniej znanym polu walki II wojny światowej, ukazując we właściwym świetle godne podziwu i szacunku bohaterstwo żołnierzy tajnego frontu.

LISTY

JESZCZE O DUCHACH

Szanowna Redakcjo! W numerze 13 z br. „Odgłosy” wydrukowały list czytelnika ze Szczawina p. Plotra Jędrzejczaka, który skarżył się, że z winy Łódzkiej Drukarni Dzielowej nabył wybitakowany egzemplarz książki „Karola Grünberga „SS — czarna gwardia Hitlera”. Takie przypadki nie należą niestety do rzadkości, co świadczy o tym, że kontrola techniczna w naszych drukarniach pracuje mało skutecznie, przepuszczając na rynek zbyt wiele bzdur.

Cożej jednak, gdy bzdur i przepuszczenia są założone niejako z góry, gdy wnie za nie ponosi wydawca. Na półkach księgarskich z rocznym opóźnieniem, za które nikt nie przeprosił subskrybentów ukazała się dawna oczekiwana „Encyklopedia

II Wojny Światowej”. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej słusznie chwali się na strzydyku obwołują, że jest to „pierwsza tego rodzaju edycja w Polsce i jedna z nielicznych w świecie”. Stwierdza także, że jest to „kompendium wiedzy o wydarzeniach wojennych 1939—1945, ze szczególnym podkreśleniem zagadnień dotyczących Polski”. Pomiędzy dwóch tysięcy haseł i artykułów przedłożonych położono, według zapewnień edytora, szczególnie nacisk między innymi na biografie przywódców państwowych i działaczy politycznych, dowódców, bohaterów.

Czytelnika od samego początku spotyka zawód. Daremnie szuka np. hasła Wacław Mołotow, chociaż kierownik radzieckiej dyplomacji był człowiekiem, któ-

ry w latach wojny wywierał zasadniczy wpływ na politykę światową. Nie spotkamy także hasła Bulgaciu, chociaż późniejszy minister obrony narodowej a nawet premier ZSRR miał, jeśli mnie pamięć nie myli, tytuł marszałka, a więc odgrywał chyba jakąś rolę w działaniach wojennych. Podobnych przypuszczeń jest więcej. Jeśli z jakimś względem negatywnie oceniamy dziś działalność tych ludzi, to chyba właściwszą metodą jest napisanie o tym wprost, zamiast rugowanie ich z „Encyklopedii”.

Nie brak innych pominięć. Tak np. „Encyklopedia” w minimalnym stopniu uwzględniła listę straci kultury polskiej rolnic wyjątek dla Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, Łódzianin daremnie poszukiwać będzie hasła: Radogosz.

Nie jestem historykiem, ale nawet po- bieżnie przeglądając „Encyklopedię” zauważyłem te braki, które powinno się naprawić przy następnych wydaniach.

mgr Janusz Czółko
Łódź

PS. Niestety i drukarnia (Wojskowa Drukarnia w Łodzi) nie stanęła na wysokości zadania. Jakość reprodukcji wola o pomstę do nieba, prawie każda fotografia jest rozmazana i niemal nieczytelna. Czy miałem szczęśliwego pecha, czy ta „Jakość” dotyczy całego nakładu?